

# TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Leon Kozłowski: „Uroczysta wigilja”. — Propaganda katolicyzmu w Rosji. — Ernest Lubiński: Gabriela Zapolska. — Jan Lorentowicz: „Gwizdany przyspiew do historii”. — Wł. Wolert: Na marginesie teatru. — Ewa Serebnińska-Oleszkowska: Mieczysław Karłowicz. — Piśmiennictwo polskie. — R. Centnerszwerowa: Dla dziatwy i młodzieży. — Robert Louis Stevenson: Kamień probierczy (odcinek), tłum. M. R.

## „Uroczysta wigilja”.

W przepięknych *Szkicach* Adama Szymańskiego<sup>1)</sup>, które mówią o „plekle dantejskiem, zaklętym w śniegi, lody i zamiecie, krwawymi światłami zorzy północnej oświetlonem”, a które niosą z sobą lzy gorące i czyste, chłodem Sybiru nie ścięte i tyle ciepła serdecznego i ognia miłości, że, zdawałoby się, śniegi i lody stopnieć powinny były, — w tej księdze niezrównanej, która jest jakby drugą księgą *Pielgrzymstwa Polskiego* — tego, co nie na zachód z bronią strzaskaną, lecz na wschód w kajdanach szło, — jest jedno opowiadanie, które szczególnie przychodzi na pamięć w chwili, gdy ostatnie fale uchodźstwa wschodniego wracają z tego piekła, w „śniegi i lody zaklętego”.

Jest to — „Uroczysta Wigilja”.

Grono zesłańców, znajdujących się w uprzywilejowanych warunkach, bo mieszkających w „stolicy mrozów syberyjskich” (Jakucku) oczekuje przybycia towarzysza niedoli, który zesłany na najdalszy kraniec ziemi lodów, wytrwał trzy lata w samotnej jurcie. „Wszyscy wspólną niedolą złączeni, Polacy i Rosjanie, postanowili uczcić jego powrót, a ponieważ przyjeżdżał on w samą wigilię, więc uczcić przedewszystkiem wigilią — wigilią uroczystą”.

Wszyscy są pochłonięci tą myślą i z zapałem biorą się do urządzenia przyjęcia, aby jak najlepiej, najsmaczniej uczęstować towarzysza niedoli, który tak wiele wycierpiał. A gdy nadzedł dzień oczekiwany i gość ukochany zasiadł do stołu, to nastąpił prawdziwy wybuch radości. Jedli i pili śmiejąc się i płacząc z radości.

— Ale cóż to u Boga? ledzą wszyscy, tylko gość, chociaż trzyma łyżkę i obraca ją w rękę, przelewa pokarm w talerzu, nie je wcale...

— Czemuż nie jecie, kolego?

I wśród ciszy zupełnej, głosem przerywanym gość tłumaczy, że jeść nie może. bo... trzy lata

<sup>1)</sup> „Szkice” te ukazały się niedawno w nowym wydaniu nakładem wydawnictwa Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich z przedmową p. A. Grzymały Siedleckiego, zawierającą świetną charakterystykę zmarłego na obczyźnie pisarza.

nie widział soli, trzy lata jadł bez soli... „a ten chleb bardzo słony, wprost pali i piecze”...

„I nie było nikogo między nami, — kończy autor, — ktoby po tych słowach, pokarm już w ustach trzymany przelknąć zdołał... Nędza istnienia uchylała nam jedną ze swych osłon tajemniczych. I zdało się nam, że z jurty samotnej widmo śmierci patrzy na nas okiem szklanym, lodowym”.

Tak i dziś, gdy słuchamy opowiadań o męczarnej doli powracających uchodźców, „nędza istnienia uchyla nam jedną ze swych osłon tajemniczych” i zdaje się nam, że „widmo śmierci patrzy na nas swym okiem szklanym lodowym”.

Szklane lodowe oczy uchodźców, którzy zamarli już na naszej ziemi, w Kołosowie, Baranowiczach i Równem ciężkim wyrzutem wbijają się w duszę naszą, bo oni z naszej winy umarli, bo nic nie zrobiliśmy dla ich ratunku.

Nie przesoliliśmy potraw, jak ci wygnańcy, częstujący swego towarzysza niedoli, który od soli odzwyczaił się, ale wcale zapomnieliśmy i o ciepłej strawie i o ciepłym schronisku dla powracających z wygnania rodaków. I pierwsze przyjęcie, jakie spotkało ich w ojczyźnie przypomina nie tę radośnie poczętą i smutnie zakończoną ucztę, o której przed chwilą opowiadaliśmy, a inną zgrozą przejmującą historję z tej że samej nowelki „Uroczysta Wigilja”.

Opowiada ją eks-isprawnik, który w czasie sprawowania urzędu otrzymał rozkaz osiedlenia jednego młodzieńca w mieście Zaszywersku. Otóż miasto Zaszywersk „zaszatnyj gorod Zaszywersk” choć oznaczone na mapie, „istnieje tylko w fantazji kartografów i podręczników, w rzeczywistości zaś nie istnieje tak dalece, że na miejscu, gdzie na mapie oznaczają Zaszywersk, niema ani jednego domu, ani jednej jurty, ani jednego mieszkańca”.

Oczom nie chciał wierzyć urzędnik, kiedy przeczytał rozkaz, ale... rozkaz spełnił...

Kazał podać trzy trójki. Na jednej zesłańców z kozakami, na drugiej isprawnik ze starszym kozakiem, pamiętającym, gdzie miał być ów Zaszywersk, na trzeciej prowizja i w drogę! Trzy dni pędzili. Na czwarty dzień wjechali na pole

lodowe, na rozległą równinę, gdzie nawet i latem lód całkowicie nie gnie.

Ujechali wiorst dziesięć po owym lodzie i stary kozak wskazał wreszcie miejsce, gdzie niegdyś przed laty znajdowało się pięć jurty, które „zaszatanem” miastem Zaszyrewskiem komuś nazwać się spodobało.

— „Stój! — zawołał isprawnik. — Zdejmujcie rzeczy, a pan niech wysiada—przyjechaliśmy na miejsce... Tu jest miasto Zaszywersk”.

Nie od razu zrozumiał młodzieniec, wytrzeszczył oczy myślał że to żarty, albo że isprawnik zwarjował... W końcu zrozumiał.

— „Oczy mu słupem stanęły, — opowiada eks-isprawnik,—a szczęki załatały, jak ci w febrze nie załatają...”

Prawdopodobnie także same zdumienie i przerażenie ogarniały repatriantów naszych w Kołosowie, gdy ich wysadzano z wagonu w otwartym polu na stacji, gdzie nawet „jurty” niema i wiatr mroźny hula zmiatając śnieg i grając na drutach telegraficznych.

Ale Zaszywersk to przecie ostatni kres na drodze wygnania, a Kołosowo to pierwszy punkt, na którym ojczyzna wita powracających z wygnania. I dodać jeszcze należy, że „eks-isprawnik” nie spełnił do końca rozkazu, zlitowawszy się nad młodzieńcem odwiózł go do najbliższej jurty jakuckiej o 30 wiorst od Zaszywerska odległej, gdzie zresztą nie o wiele lepiej było i gdzie zesłaniec zmarł nim upłynęło pół roku.

U nas rozkaz ściśle wypełniano i pozostawiono ludzi w Kołosowie umierać natychmiast.

Przyszłe pokolenia, czytając męczarną historję polskiego uchodźstwa nie uwierzą, aby kraj *tak* witał powracających z wygnania rodaków. I nam się wierzyć nie chce, że coś podobnego mogło się stać.

A jednak stało się.

Stało się to, że ci, których los od śmierci na wygnaniu ocalił, którzy znieśli wszystkie katusze życia tułaczego, nie przeżyli spotkania, jakie im ojczyzna zgotowała.

Nie z radości, że ziemię ojczystą ujrzeli nakoniec, umarli, lecz z chłodu, jakim ich ta ziemia owiała... Z przerażenia jeszcze przed śmiercią oczy słupem stanęły. A oczy te martwe patrzą nam w duszę niemy wyrzutem. I z tym wyrzutem do uroczystej wigilii w tym roku przystępujemy, do najsmutniejszej ze wszystkich, jakie mieliśmy, bo jeżeli dawniej w latach niewoli radość tej chwili uroczystej psuła nam myśl o braciach nieobecnych, którzy gdzieś cierpią, których gdzieś katują, to przynajmniej mieliśmy czyste sumienie i świadomość, że nie my ich zguby winni jesteśmy.

Dziś tego czystego sumienia nie mamy

Leon Kęstowski.

## Propaganda katolicyzmu w Rosji.

(Wyzwiad z ks. arcybiskupem Roppem).

W sprawie propagandy katolicyzmu na wschodzie, budzącej u nas zainteresowanie tak z punktu widzenia religijnego, jak i z punktu widzenia politycznego, zwróciliśmy się do ks. arcybiskupa Edwarda Roppa, który chętnie udzielił w tej sprawie szeregu ciekawych wyjaśnień.

— Czy można, spytaliśmy, przypuszczać, że Rosja po katastrofie, która ogarnęła w niej i państwo i kościół, po wielkiem wstrząśnięciu, które wywołuje obudzenie ducha religijnego, zbliży się do katolicyzmu?

A syn młodszy dorzucił:

— Ojciec wie, co robi.

I jechali tak przez dzień cały, aż, gdy słońce chyliło się już do spoczynku, przybyli nad brzeg jeziora, przy którym wznosił się wielki zamek obronny.

— Oto — przemówił król — cel naszej drogi. Jedziemy w odwiedzinę do pana tej siedziby, króla i kapłana zarazem, od którego nauczycie się nie mało.

Władca zamku, mąż o surowem obliczu, czekał na nich przy wrotach, a przy nim stała jego córka, piękna jak jutrzeńka. Miała uśmiech na twarzy, ale spuszczone ku ziemi oczy.

— Oto moi dwaj synowie — wyrzekł król pierwszy.

— A oto moja córka — odparł król i kapłan.

— Przedziwnie urodziwa — pochwalił król pierwszy — a najwięcej podoba mi się jej uśmiech.

— Piękni i rośli chłopcy — ozwał się rodzic królewny. A najwięcej podoba mi się ich powaga.

Obaj ojcowie spojrzeli sobie w oczy:

— Coś da się zrobić — oświadczyli jednocześnie.

I w tejże chwili obaj młodzieńcy utkwili źrenice w dziewczynie i, gdy jeden poblądł na twarzy, drugi oblał się rumieńcem. A ona, wciąż uśmiechnięta, patrzyła wciąż w ziemię.

Robert Louis Stevenson

## Kamień probierczy.

Król wyglądał pokaźnie. Miał uśmiech słodki, jak kwiat koniczyny, ale duszę małą, jak ziarnko grochu. Los obdarzył go dwoma synami: młodszy podobny był do niego we wszystkim; starszy budził w nim uczucie lęku.

I oto pewnego poranku, nim wzeszło słońce, rozległo się z wałów zamkowych bicie w bębny. Król wyruszał w drogę ze swymi synami w otoczeniu licznej świty. Jechali już od dwóch godzin, gdy dojrzeli przed sobą ciemne zbocza wysokiej a stromej góry.

— Dokąd wiedziesz nas ojcze? — spytał syn starszy.

— Poza tę górę — odparł król, uśmiechając się do siebie.

— Ojciec wie, co robi — dorzucił syn młodszy.

I jechali znów przez długie dwie godziny, aż przecięła im drogę rzeka o czarnych niemal i dziwnie głębokich wodach.

— A gdzież będzie kres nasz drogi? — spytał syn starszy.

— Za tą rzeką o ciemnej toni, — odrzekł król, uśmiechając się do siebie.

— Z wielu listów, jakie otrzymuję z Rosji, — odpowiadał arcybiskup, — dowiaduję się o wielkiem obudzeniu się ducha religijnego. Ruch ten jednakże idzie w dwóch kierunkach: w kierunku zbliżenia się ku nam i w kierunku wrogiego nam prawosławia. Duchowieństwo rosyjskie wiele u nas zapożycza, jak na przykład otwieranie kościołów po za godzinami nabożeństw i kościoły w Rosji są przepelnione teraz. Życie religijne w Rosji jest bardzo skomplikowanym i nie łatwym do określenia. Nie można mówić ogólnikowo o całym narodzie, lecz należy wyróżniać poszczególne grupy: kler wyższy i niższy, inteligencję i masy ludowe.

Wyższe duchowieństwo w Rosji przechodzi studia teologiczne w seminarjach i akademjach, nieraz bardzo poważne. Dotychczas jednakże w Rosji było mało wyższych hierarchów z powołania, przeważnie byli to dygnitarze kościelni, którzy robili karierę. Dzięki temu nauka teologiczna słabo się rozwijała w Rosji, a wobec wrogiego stosunku do katolicyzmu, duchowieństwo rosyjskie prawosławne czerpało ze źródeł protestanckich i jest zarażone po części racjonalizmem. Odnosi się to do wyższych hierarchów i do niższego duchowieństwa w miastach. Co się tyczy najliczniejszego kleru wiejskiego, to ten zupełnie nie wykształcony, mało czem się różni od ludu, śród którego żyje.

Inteligencja rosyjska wychowaną była w duchu materialistycznym; teraz dopiero po rewolucji zwróciła się do religji. W tym prądzie religijnym zaznaczył się już i strumień, który prowadzi do Rzymu.

Katolicyzm niezaprzeczenie pociąga ku sobie część inteligencji rosyjskiej, przytem inteligencja przechodząca na katolicyzm wybiera obrządek łaciński.

Masy zaś ludowe są przywiązane właśnie do obrządku wschodniego i propaganda obrządku łacińskiego nie może mieć powodzenia w masach ludowych rosyjskich. Ale forma przecie jest rzeczą drugorzędną, chodzi o treść religji. Katolicyzm jest religją powszechną, niezależnie od formy łacińskiej czy wschodniej (słowiańskiej).

Wobec tego zaproponowałem w Rzymie dla propagandy katolicyzmu na Wschodzie system dwuobrzędowy: jeden biskup, który pontyfikuje i w łacińskim i słowiańskim językach; również jedno duchowieństwo, uznające celibat, które jednakowo mogłoby odprawiać nabożeństwo i w słowiańskim i w łacińskim językach. Obrządek wschodni otrzymałby impuls do wprowadzenia do nabożeństwa wszystkiego, co podnosi i pociąga masy, jak to: kult św. Sakramentu, Najświętszej Panny, święta majowe...

Neofici przechodzili by wprost na katolicyzm, nie oznaczając obrządku, który następnie wybierałoby zgodnie ze swoim upodobaniem. W ten sposób podkreślałaby się jedność religji katolickiej przy różności obrządków.

— Jak można wyobrażać sobie szerzenie się wiary katolickiej w Rosji, czy drogą aktów indywidualnych, czy też aktów zbiorowych, masowych?

— Dotychczas, — odpowiadał arcybiskup, — wlem o jednym tylko akcie zbiorowym: jeden proboszcz prawosławny przeszedł na katolicyzm z całą parafją swoją. Takie wypadki mogą powtarzać się, ale większą rolę w szerzeniu katolicyzmu odgrywa indywidualne nawracanie.

— Co się robi w tym kierunku w Rosji?

— Dotychczas akcja katolicka w Rosji nie przybrała szerszych rozmiarów, ale praca została już podjęta. W Piotrogradzie odbywają się raz na tydzień w kościele katolickim kazania dla Rosjan w rosyjskim języku, które są bardzo

— Muszę się z nią ożenić — rzekł syn starszy. — Uśmiech ten z pewnością dla mnie przeznaczony.

Wówczas młodszy brat chwycił ojca za ramię.

— Chciałbym — szepnął — powiedzieć ci słówko. Gdybyś zgodził się wysłuchać mej prośby, pragnąłbym poślubić tę dziewczynę. Pewny jestem, że uśmiecha się tak do mnie.

— Odpowiedz mi słówkiem również. Dobry myśliwiec czeka stosownej chwili. Trzymaj na razie język za zębami.

Mówiąc tak, szli za ojcem królowny do dworu, gdzie czekała ich wleczka. Krocząc przez komnaty, dziwili się jego przestronności. Król, co był kapłanem, zasiadł u końca stołu. Nie mówił nic i młodzieńcy spoglądali nań kornie. Dziewczyna usługiwała im sama z uśmiechem na twarzy i ze spuszczonej powiekami, a obydwom na jej widok wzbierało serce radością.

Następnego dnia starszy syn zbudził się ze snu, nim świt zajaśniał na niebie. Ale dziewczyna siedziała już przy kądzieli, była bowiem skrzętna i pracowita.

— Dziewczyno — przemówił chłopiec — pragnąłbym cię poślubić.

— Zwróć się do mego ojca — odparła z uśmiechem, spuszczając oczy ku ziemi i oblewając się rumieńcem.

— Dała mi swe serce — pomyślał chłopiec i pobiegł nad brzeg jeziora, śpiewając radośnie.

W chwilę potem podszedł do dziewczyny syn młodszy.

— Dziewczyno — wyrzekł — chciałbym cię poślubić, jeśli zgodzą się na to nasi ojcowie.

— Pomów o tem z mym rodzicem — odparła, spoglądając w ziemię z uśmiechem. A twarz jej oblała się różową luną.

— Przykładna z niej, jak widzę, córka — uradował się chłopiec. Będzie również posłuszną żoną. Ale co właściwie począć mam teraz?

Przypomniał sobie, że ojciec dziewczyny jest kapłanem i pociósł w ofierze do świątyni lasicę i zajaca.

Król-kapłan wezwał przed się obu młodzieńców wraz z ich ojcem i zasiadłszy na swym tronie kapłańskim, przemówił do nich w te słowa:

— Nie dbam o świetne szaty i nie dbam o władzę. Żyjemy tu wpośród cieniów rzeczy, których widok wypełnia serce bólem. Miotają nami wiatry, niby schnącą na powietrzu szmatą, i znużeniśmy srodze. Ale ukochałem rzecz jedną, a imię jej — prawda. I dam mą córkę w nagrodę temu, kto przyniesie mi jej kamień probierczy. Kamień, w którego świetle znikną błędne pozory i ukaze się oczom istota rzeczy. Bo wszystko poza nią jest próżnością. Więc jeśli chcecie chłopcy poślubić mą córkę, ruszajcie

uczęszczane. Wielkie powodzenie ma działalność misyjna katolicka na Syberji. Nie należy zapominać, że w Rosji, zwłaszcza na Syberji, dużo jeszcze jest pogan. Według statystyki urzędowej, poganie stanowią niewielki  $\frac{1}{2}$  czy  $1\%$  ludności b. Imperjum Rosyjskiego, ale statystyka ta nie odpowiada rzeczywistości, bo wśród plemion wschodniej Syberji są poganie, którzy tylko na papierze zaliczeni byli do chrześcijan. Są więc dusze, do których jeszcze nie docierało światło wiary Chrystusowej i akcja misyjna katolicka ma przed sobą w Rosji szerokie i wdzięczne pole. Należy pamiętać tylko, że jest to akcja czysto religijna, która nie powinna służyć do celów politycznych. Tem się różni zamierzona przezemnie akcja od akcji arcybiskupa Szeptyckiego, która jest wybitnie polityczną. Religja nie może być narzędziem polityki. Inna rzecz, że religja wpływa na politykę, bo wspólność wiary zbliża i łączy narody, antagonizm religijny pogłębia antagonizmy narodowe. Z tego punktu widzenia i propaganda katolicka na Wschodzie może mieć bardzo doniosłe polityczne następstwa: Rosjanie pozyskani dla wiary katolickiej przez misjonarza Polaka, nie będą żywili uczuć wrogich względem Polaków i gdyby Rosja została pozyskaną dla Rzymu, to upadłaby ściana, rozdzielająca Wschód i Zachód; ale to nie może być *celem* działalności misyjnej, celem tym może być tylko pozyskanie dusz dla religji katolickiej. Dotychczas w Rosji pojęcie polskości łączyło się z pojęciem katolickości, dzięki temu, że dawny rząd rosyjski zwalczał Polskę katolicką, z prawosławia czyniąc narzędzie rusyfikacji. Otóż tą drogą nie powinniśmy iść i propaganda katolicyzmu na kresach naszych i w Rosji nie powinna być narzędziem polonizacji.

## Gabrjela Zapolska.

Odeszła dość daleka od starości, wiecznie duchowo młoda, aczkolwiek sterana cierpieniem. Z nią straciła scena świetnego technika, narodowego Sardou. W mistrzowskiej robocie Zapolskiej nie było nic kobieco-miękkiego, przeciwnie, ciosała swoje postacie męską dłonią i podkładała pod nie kanwę z niezrównanem mistrzostwem. Androgyne od stóp do głowy... Potężna umiejętność architektoniczna przesłaniała niejednokrotnie blahość fabuły i z rzeczy wydrukowanych w książce, literacko średnich lub nie dość silnych, czyniła w świetle kinkietów pierwszorzędności. Typowym pod tym względem przykładem pozostanie „Tamten“, wystawiony w Krakowie pod pseudonimem Maskowa. Premierę poprzedziły sensacje wygrzebywane z za kulis, słuchy o wiernem sportretowaniu żandarma Margrawskiego, wcielonego w pułkownika Kornilowa, o obrażeniu niemal całego społeczeństwa przez nakreślenie sylwetek, uosabiających słabość, deklamację patryjotyczną, załamującą się pod kułakiem rosyjskim i brutalnością nieugiętą. Rozpętana w jednym dzienniku walka namiętna, przybierała formę skandalu. Sprawozdawca teatralny pisma posunął się do osobistych aluzji i w uszczypliwym dwuwierszu: „Nie pomoże puder, róż, kiedy baba stara już“, starał się ugodzić w kobietę w niebezpiecznym, Balzakovskim wieku, za co posłała mu do redakcji psikaganię!... Zbliżył się wleczyć oczekiwany, zapowiadany grzmotami i błyskawicami gazetarskiego skrzypu piór. Siedziałem obok Adama Skrzyńskiego, starosty *in partibus*, członka redakcji urzędowej *Gazety Lwowskiej*, może najświetniejszego znawcy teatru polskiego obok Stanisława Koźmiana. Toczył się akt po akcie wśród

w świat, by przynieść mi ów kamień. Pojmie ją za żonę ten, kto go posiadzie.

— Chciałbym — szepnął syn młodszy do swego ojca — powiedzieć ci słówko. Sądzę, że mogliśmy obejść się doskonale bez tego kamienia.

— Odpowiem ci słówkiem również — odparł ojciec. — Podzielam twe zapatrywanie, ale jestem zdania, że trzeba tymczasem trzymać język za zębami.

I uśmiechnął się mile do króla i kapłana.

Ale syn starszy zerwał się na nogi i przemówił do kapłana, mianując go ojcem:

— Czy poślubię czy nie twą córkę, chcę, dając ci to imię, złożyć hołd twej mądrości. A teraz wyruszam w świat daleki szukać kamienia probierczego.

I, pożegnawszy wszystkich, opuścił istotnie dwór.

— Pojadę i ja również, jeśli pozwolisz mi ojciec — ozwał się wówczas syn młodszy, — bo serce rwie mi się do tej dziewczyny.

— Pojedziesz ze mną do domu, oświadczył ojciec.

I stało się, jak rzekł. A gdy przybyli do zamku, ojciec powiódł syna do swego skarbcza.

— Mam ci tu ja — rzekł — kamień probierczy, ukazujący oczom całą prawdę. Zoba-

czysz w nim odbicie samego siebie, jakim jesteś rzeczywiście.

I gdy chłopiec ujął ów przedmiot w rękę, ujrzał istotnie twarz gołowąsęgo młodzika, która wydała mu się dość urodziwą. Było to bowiem zwierciadło.

— Niema w tem — przemówił — nic tak nadzwyczajnego, by warto było pisać o tem dzieła, ale nie będę skarżył się na nic w życiu, jeśli zdobędę dzięki temu córkę kapłana. Trzeba jednak być skończonym szaleńcem, by szukać, jak mój brat, po świecie tego, co ma się pod ręką we własnym domu.

I pojechali znów do króla i kapłana, by zawieźć mu zwierciadło. A gdy spojrzął w nie i ujrzał się w niem królem, gdy ujrzał, że domostwo jego jest prawdziwą siedzibą władcy, poczał składać Bogu radosne dziękczynienia.

— Bo wiem teraz — wykrzyknął, — że oto mam przed sobą czystą prawdę. I jestem, jako żywo, królem, choć serce me pełne było wątpliwości.

I zburzył swą świątynię, a na jej miejsce postawił nową. A młodszy syn jego gościa poślubił królową.

Tymczasem syn starszy błąkał się po drogach ziemi, szukając kamienia probierczego. I ilekroć dotarł do jakichś siedlisk ludzkich, pytał wnet, czy nie wiedziano tam o nim. I wszędy

ogromnego napięcia, w oprawie doskonałej, z Kamińskim w roli głównej, wszystko wyczelowane i wypieszczone pod artystyczną opieką arcymistrza Tadeusza Pawlikowskiego. Gdy ostatecznie kurtyna opadła, publiczność jakby osadzona na miejscach trwała chwilę w zaniemieniu, poczem hurmem podniosła się, ocknięta z wrażenia. Podobny tryumf przeżywał Wyspiański na „Weselu”. Zagadnąłem trwożliwie mego towarzysza. Wzruszył ramionami i odparł odruchowo: „nic nie wiem, jutro pójdziemy znowu”. I poszliśmy. Po zakończeniu widowiska usłyszałem: „Majster!... Oszalamia budowa. Jak tylko opuszcza się zakłęty gmach, wypełniony sztukaterjami i arabeskami techniki, zostaje w pamięci bomba”... „Tamten” zawiódł w książce, został fakirem bez magicznej mocy. Podobny los w większym lub mniejszym stopniu dotknął inne sztuki Zapolskiej: okraszane wyłącznie scenicznym rumieńcem, ożywione niepospolitym nerwem teatralnym i temperamentem wyjątkowym, zamierały w literaturze, podobnie jak ryba, wyniesiona z głębi wodnej na przestrzeń lądową. Mimo to wszystko prawda psychologiczna, czujna obserwacja, przepuszczone przez rzeszotę naturalistyczne, były w twórczości Zapolskiej czynnikiem bardzo poważnym. W szarych kątach, na poddaszach, w suterrenach, umiała wyszukiwać swoje *mesdames sans gêne* i skąpać je w przeźroczach swoistej poezji. Pozornie mogło wydawać się, że goni za pewną jaskrawością i wydobyciem dramatycznych szczegółów, w rzeczywistości wszakże przelewała w te zabłąkane na trzęsawiskach życia kobiety i dziewczęta dużo współczucia, ciepła i ideowych drgnień. Stąd wynikały nieporozumienia między jej intencją a egzegezami krytyków, którzy pojmując zbyt dosłownie bieg akcji i psychologię postaci, nie widzieli nic więcej. Draśnięta oceną „Kobiety bez skazy” w Warsza-

wie, pisała do mnie: „Nigdy jeszcze nie zabawiłam się tak serdecznie, jak tą aferą. Przypomniały mi się czasy „Małaszki” i „Kaśki Karjatydy”. Publiczność przeszła mimo i sama w swój sąd. Nie wszyscy, dzięki Bogu, są starzy erotomani, którzy wszędzie wążają pretekst do rozpusty. A cała rzecz wzięta absolutnie z życia. Powiedz to panu... (Tu wymieniony krytyk, który często klepie autorów po ramieniu). Działo się w Krakowie, a i pan i ja znamy tę osobę bardzo dobrze i profesora i koncepspraktykanta”...

Na polu powieściowem szła od stworzenia „Małaszki” linią naturalistyczną i prawie nie odchyłała się od niej. „Zaszumi las” dyszy chwilami prześlizcznym, wielkim nastrojem i rol się w wstępnej części, w opisach życia „obrusiteli” w Polsce, od epickich niemal pociągnięć, od flamandzkiego wykończenia i uroku. Jeden z ostatnich jej romansów „O czym się nie mówi” był laboratoryjnym wypracowaniem wydarzenia w sferach nam bliskich i znanych oraz dokładnym sprawdzianem metod, jakimi posługiwała się przy przetwarzaniu surowego tematu na kruszec literackiej wartości. Składała się na ten proces przetwórczo—twórczy nie chęć utrwalenia czegoś pikantnego lecz zasadnicze studja nad „nagą duszą”, nad ludźmi z cuchnących zaułków lub drugimi z salonu, zniżających się wszakże w żądzę odmiany i wyszukania kontrastu do śmietników... Zasługą Zapolskiej pozostanie wprowadzenie naturalistycznego kierunku do naszej nadobnej literatury i uchwycenie pewnego rodzaju typu ze środowiska mieszczańskiego, jak to uczynił w Niemczech Juliusz Stinde w gawędach o rodzinie Bucholzów lub w Rosji Lejkin w prześmiesznych, samowarowo — podróżnych przygodach swoich bohaterów. Tu ujawniła Zapolska niezwykłość satyrycznego zacięcia, wielkie zalety karykatu-

spotykała go jednaka odpowiedź: „Nietylko, że słyszeliśmy o takim kamieniu, ale nawet mamy go w swem posiadaniu, my jedni na świecie”. A on, z sercem wezbranem radością, prosił, by mu go pokazali. Czasem było to zwierciadło, w którym odbijały się pozory rzeczy. I wówczas chłopak mówił: „Mylicie się, ludzie, tu chodzi o coś więcej”. Czasem znów był to złom węgla i nie odbijał w sobie nic zupełnie. Wówczas chłopiec mówił: „To nie może już być zgola probierzem prawdy, bo nie pokazuje nawet pozorów”. A czasem był to istotnie kamień probierczy pięknej barwy i oszlifowany misternie, siejący światło naokół. I gdy wędrownik dopraszał się o niego, nie spotykała go odmowa, ludzie bowiem są szczerzy wogóle na tego rodzaju dary. To też wypełnił nimi powoli swe torby pielgrzymie; pobrzękiwały w nich, gdy jechał drogą, a gdziekolwiek zatrzymał się, szukając wypożyczynku, oglądał je i wypróbowywał ich wartość aż do zupełnego zmęczenia. I doznawał wówczas wrażenia, jak gdyby obracały mu się w głowie skrzydła wiatraka.

— Niedobra sprawa z temi kamieniami — rozważał wówczas markotnie. — Jeden jest czerwony, drugi szafirowy, trzeci zielony. Wszystkie wydają mi się doskonałe, a jednak drwią niejako ze siebie wzajemnie. Fatalna sprawa! Gdyby nie chodziło mi o tego króla, którego nazwałem

ojcem, i o jego piękną córkę, której wspomnienie wypełnia mi serce weselem i przywołuje na usta słowa pieśni, rzuciłbym je wszystkie do słonych wód morza i wrócił do ojczystego kąta, by, jak inni, być zwyczajnie królem.

Ale był jak myśliwiec, co ujrzał na szczycie góry jelenia. Choć noc już zapadła, choć wrócił już do swej chaty, myśli wciąż jednak, siedząc przy płonącym ognisku, o tej zdobyczy, co umknęła jego pogoni.

Minęło lat wiele i oto dnia pewnego dotarł królewicz do wybrzeży morza. Była już noc i otaczało go zewsząd dzikie pustkowienie, a uszu dobiegała tylko głośna skarga fali. Ale oto dostrzegł nagle przed sobą jakieś domostwo, a w niem człowieka, siedzącego przy nikłym blasku świecy, nie miał bowiem ognia. A gdy wszedł do izby, poczęstował go ów samotnik wodą, nie miał bowiem chleba, i na wszystkie jego pytania kiwał tylko głową, bo żadne słowa nie wychodziły już z ust jego.

— Nie znasz przypadkiem probierczego kamienia prawdy? — spytał wkońcu królewicz. A gdy człowiek skinął potwierdzająco głową, rozdrażniło go to tylko.

— Powiniennem był — wykrzyknął — domysleć się tego. Mam ich przecie cały worek.

I począł śmiać się hałaśliwie, choć ciężko mu było na duszy.

rzysty w najlepszym sensie *a la Gavarni* i pogardę pobłażliwego stoika dla małego kramarstwa, popolitactwa, wegetującego w sposób zoologiczny. Dulska — to symbol, to oznaczenie braku umysłowości, poziomego pelzania po ziemi, określonego przez Słowackiego mianem zjadacza chleba. Trafność psychiki była tak wyrazistą i namiętnie plastyczną, że przeszła do słownictwa i w niem przyrosła na zawsze „dulszczyzna“ do pamięci zgasłej pisarki. Samo nazwisko zacnej heroiny wzięła prawdopodobnie ze starej powiastki dla dzieci, w której pod rycinami mieszczą się wierszyki.

„Daleko, daleko, gdzie piękna kraina  
Mieszka pani Dulska, dobra kobiecina.  
Ma koteczkę Femcią i pieska Filusia“ etc.

Zapolska uprawiała wśród innych rodzajów także fejetonistkę. I zdumiewającym musi wydać się (choć mało znanem), że na tem polu zajaśniał jej talent najszczerzym blaskiem. Szereg odcinków w dawnym, liberalnem *Słowie Polskiem* z czasów Rutowskiego, Stanisława Szczepanowskiego i Romanowicza p. t. „Przez moje okno“ był zbiorem prawdziwych arcydzieł, zupełnie niemal odosobnionych w naszej publicystyce. Są to drobiazgi o dużym sentymencie, zwilżone niekiedy serdeczną łezką lub rozjaśnione jakby błyskiem damasceńskiej klingi, wreszcie Dickensowskiego humoru.

Ruchliwość gnała Zapolską niby błędny ognik po drogach bytu. Przez pewien okres studjowała u głośnego Antoina w Paryżu, grywała w jego teatrze i stamtąd przyszła do nas z marką aktorską. Przerzekłam ją krytyka i wprowadziła w mury Melpomeny na rydwanie tryumfatora. Suggestja trwała nadzwyczaj krótko. Zapolska odtwarzała jedynie inteligencją, — a to za

mało! Nawet jej najkapitałniejsza kreacja w „Norze“ Ibsena nie wplotła lauru do wieńca znanej już autorki „Kaśki Karjatydy“. Zrozumiała położenie, nie chciała być też „użytecznością“ i wycofała się ze sceny. Poświęciła się odtąd tylko piśmiennictwu, nie licząc przelotnego kierownictwa szkołą dramatyczną w Krakowie i zamieszkała w Krzywczycach pod Lwowem, tuż za Łyczakowską rogatką. Rozgłos jej rósł z dnia na dzień. Rychno też wydarła się z domowych opłotków i wkroczyła do teatru przeważnie francuskiego i niemieckiego. Jeszcze w ciągu wojny światowej wystawił teatr pani Betty Nansen, jeden z najlepszych w Kopenhadze, „Moralność Pani Dulskiej“, wprowadzając nazwisko polskie do repertuaru duńskiego. Wybór sztuki był niestety mało trafnym.

Chora od dłuższego czasu na oczy musiała przesładywać w mrokach pokojowych, co ją w rozpacz wprawiało i wytracało pióro z dłoni. Zesmutniała, skwaśniała... Na domiar złego, ze skurczonymi dochodami, popadała w coraz cięższe położenie i dopiero niedawno zaalarmowały dzienniki opinię publiczną wieścią o jej niedostatku. Bóg raczy wiedzieć jak rozległą była niedola i jak gnębiła duszę, nawykłą do wykwintu. Zgasła niedostatecznie może oceniona w naszej atmosferze, przepojonej uniesieniem lub potępieniem, ale prawie nigdy trwałym szacunkiem dla walorów pisarskich. Zstąpił z nią do grobu człowiek złożony, talent duży i ważący. Kiedyś, w starym teatrze krakowskim, widniały na łóżach pierwszego piętra nazwiska najcelniejszych autorów scenicznych, wyrzute złotemi głoskami, a więc Bohomolca, Fredry, Narzymyskiego, Blizińskiego, Bałuckiego i t. d. Powinno się w ich rzędzie znaleźć na czołowym miejscu i nazwisko zgasłej.

Ernest Łunicki.

Wtórował mu milczący samotnik i w wybuchu śmiechu zgasił świecę.

— Spij teraz — ozwał się wówczas — dotarłeś wreszcie celu. Skończyła się twa pielgrzymka i spłonęła do końca ma świeca.

I gdy nadszedł ranek, dał królewiczowi zwyciężny kamyk bez barwy i blasku. Ów spojrział na dar pogardliwie i nie przywiązując do niego żadnej wagi, podążył w dalszą drogę.

Ale przez dzień ten cały czuł się spokojniejszym, niż zazwyczaj. Osłabło w nim pragnienie dalszych poszukiwań. I w myśli zrodziło się nagle przypuszczenie: „Gdyby jednak istotnie ten niepozorny kamień był prawdziwym kamieniem probierczym?“ Zaledwie zadał sobie to pytanie, a wnet już zsiadł z konia i wypróżnił swe sakwy. Gdy pomieszał ze sobą swe cudne kamienie, wszystkie utraciły swą barwę, błędąc jak gwiazdy rankiem. Ale oto rzucił na nie światło kamienia, danego mu przez samotnika, i wszystkie zajaśniały zwykłym blaskiem. Lecz ów kamień płonął jeszcze żywszym ogniem.

— A gdyby to był prawdziwy kamień probierczy — wykrzyknął teraz — wskazujący mi, że we wszystkich innych jest jednak nieco prawdy?

I skierował kamień ku przestworzom nieba i ujrzał w jego świetle ich głębie otchłanne. Skierował go ku zimnym i jałowym wzgórzom i doj-

rzwał całe życie, pulsujące w ich wnętrzu. Skterował go ku ziemi i patrzył na pył jej z radością i grozą. I gdy wkońcu ujrzał w jego świetle samego siebie, padł na kolana, szepcząc słowa modlitwy.

— Dzięki Ci, Panie — mówił — za ten dar cenny. Mogę teraz zantechać dalszej wędrówki i jechać do owego króla i jego córki, co wypełnia mi serce weselem i przywołuje na usta słowa pieśni.

Ale gdy przybył do dalekiego zamczyska, ujrzał kilkoro dzieci, bawiących się na podwórku w miejscu, gdzie ongi witał go król i kapłan.

I umilkła w nim radość, bo pomyślał: „Powinny tu bawić się moje dzieci“.

A gdy wszedł do dworca, ujrzał swego brata, siedzącego na tronie o wysokich poręczach. Przy nim siedziała dziewczyna. I weszła w nim gniew, bo powiedział sobie: „Ja to powinienem zasiadać na tym tronie, mając ją u swego boku“.

— Kim jesteś wędrówcze? — spytał wówczas brat jego — i co przywiodło cię w te progi?

— Przybyłem tu, by poślubić tę oto niewiastę, gdyż znalazłem kamień probierczy, jestem zaś twym starszym bratem.

A brat młodszy jał śmiać się na to hałaśliwie.

## „Gwizdany przyspiew do historii”.

Józef Weysenhoff dopiero w trzydziestym piątym roku życia począł uświadamiać sobie własną siłę twórczą. Tak późne poczucie się w swem „jesteństwie” szukać musiało uzgodnienia dwóch ludzi: z jednej strony, od pierwszej niemal chwili, wszedł w szranki literatury w pełnym niemal rynsztunku pisarz rasowy, rozmiłowany w kunszcie języka rodzimego, przejrzysty w stylu, muskularny w stawianiu figur i dojrzałe uśmiechnięty; obok niego zaś stanął, zrazu przyczajony, niepewny orientacji, ale chciwie obserwujący życie publicysta, żądny pouczania, dość wyniośle a potem dość jednostronnie traktujący spawy swego narodu, wypowiadający najstarsze prawdy i najmłodsze nieprawdy z jednakowem wciąż przeświadczeniem, iż tworzy nowe życie ideologiczne w Polsce. Gdy ten publicysta miał do rozporządzenia pełnię środków artystycznych, umiał nimi tak ogarnąć i przeniknąć sferę swych rozważań społecznych, że wypuścił w świat jednolite dzieło twórcze wysokiej oryginalności i ważkości artystycznej („Żywot pana Podfilipskiego”); gdy zaś wrażliwość artysty nie mogła sobie poradzić z bezpośredniem oddziaływaniem chwili, powstał Budziszowy *radotage* „Dni politycznych”. W przerwach olśniewały Weysenhoffa czary natury, zwyciężał artysta i rodziły się przednie krajobrazy „Soboła i panny”.

Wojna europejska zbudziła znowu zadrzemanego szczęśliwie Budzisz. Wstrząśnienie było niezawodnie silne, ale refleks — nikły.\*)

Z arcy-dyskretnych uśmiechów Podfilipskie-

\*) „Cudno i ziemia cudeńska”. Wyd. „Bibl. Polskiej”. Warszawa 1921.

— Ja — wykrzyknął — posiadam już ten kamień przed wielu laty i pojąłem mą wybraną za żonę, — a oto nasze dzieci.

A twarz starszego brata pociemniała na to cała.

— Powinieneś był! — rzekł — postąpić uczciwie, bo oto życie moje zmarnowane zostało nieodwołalnie.

— Postąpić uczciwie? — obruszył się brat młodszy. — Nikomu chyba nie przystoi mniej, niż tobie, co jesteś bezdomnym włóczęgą i renegatem, wątpić zarówno o mej prawości, jak o uczuciach sprawiedliwości mego ojca i króla.

— Posiadałeś wszystko — odparł brat starszy — zdobądź się więc na chwilę cierpliwości i pozwól, bym ci powiedział, że świat pełen jest kamieni probierczych. Nie łatwo odróżnić wśród nich prawdziwy.

— Nie powstydzę się mego — oświadczył brat młodszy. — Możesz przekonać się zaraz o jego wartości.

I podał mu swe zwierciadło, w którym brat starszy ujrzał z bólem i zdumieniem swe własne oblicze. Była to już twarz człowieka starego, o głowie przyprószonej szronem. I padłszy na lawę, począł tulacz szlochać głośno.

— Widzisz chyba nareszcie — ozwał się wówczas brat młodszy — jakim byłeś szaleńcem, szukając po całym świecie tego, co spoczywało

go pozostały już tylko zmarszczki przy wargach siłących się na „gwizdany przyspiew do historii”, ale niezdołnych pochwycić wątku splecionych melodij dziejowej chwili.

Droga od Podfilipskiego do Szaropolskiego (bohatera „Cudna”) mogłaby być przedmiotem specjalnych rozważań dla historyka stosunku wielkiego pisarza do życia bieżącego.

Niegdyś, w pełnym rozkwicie pozytywizmu, zjawiał się w powieściach *szlachetny inżynier*, który nie miał wprawdzie w kraju realnego terenu do pracy, ale jakoś sobie radził cudownie: w momentach katastrofy rodziny, zrujnowanej przez ofiarną patriotyczną ojców, wyjmował z kieszeni nabity banknotami pugilares i ocalał spokój rozbitków życiowych, ślicznej panny i nieszczęśliwej matki. Dziś po kataklizmie wojny, z której wyszła oczekiwana przez sto lat a w pozytywizmie odsuwana straszliwie daleko Niepodległość, zjawia się w powieści nowy upiór *szlachetnego inżyniera*, rozpoczynającego syzyfową pracę swych poprzedników, ale znacznie więcej od nich niedołęznego.

Pozornie Szaropolski uzbrojony jest tak, jak żaden z *inżynierów* pozytywizmu: wykształcił się życiowo w Ameryce, przywiózł stamtąd dolary, rozum i miłość ziemi ojczystej. Wszedł do Polski *niepodległej*, to jest nie znalazł już przeszkód niewoli dla przejawów swej energii obywatelskiej. I oto wszystko napróżno...

Jakże się to stało? dla czego? w jakim mieście?

Miasto nazywa się *Cudno*, bo taką nazwę znalazł dla Warszawy z „cudu nad Wisłą” robaczywy już nieco uśniech imć pana Podfilipskiego. Jesteśmy w ostatnich czasach okupacji niemieckiej i w pierwszych miesiącach własnej gospodarki. Szaropolski mało zrozumiał z dyna-

w skarbcu naszego ojca. Wracasz oto teraz do rodzinnego kąta, nie mając dachu nad głową, ni własnego ogniska, — wracasz tak nędznym, że uganiać się muszą za tobą psy po drogach. Tymczasem ja, com umiał słuchać głosu mądrości i żyć zgodnie z obowiązkiem, pędzę dni me w cnocie i ucieście, a serce me przepelnione jest szczęśliwością.

— Ja widzę tylko — odparł na to brat starszy, — że umiesz być okrutnym w mowie. I zdobywszy swój kamień probierczy, rzucił jego światło na brata. I ujrzał całą jego kłamliwość i całe ubóstwo jego duszy, malej jak ziarnko grochu. I ujrzał, że serce jego pełne było lęku, co jak skorpion wpijał w nie swe żądło i że miłość wymarła w niem doszczętnie. I na widok ten nie mógł powstrzymać się od okrzyku. I zwrócił światło kamienia na niewiastę. Była to tylko maska ludzka, nakrywająca żywego trupa. Bezmyślny uśmiech przypominał w swej mechaniczności regularny ruch wahadła.

— Widzę teraz — zawołał — odwrotną stronę medalu: zło ma swe dodatnie strony. Używajcie tu sobie w swem zamczysku, czego możecie — ja pójdę w świat szeroki z mym kamieniem probierczym.

Tłom. M. R.

miki uczuciowej ludzi wyrosłych w niewoli, którym ukazano nagle zorzę wolności. Weyssenhoff włożył mu odrazu na oczy dość szczególne okulary polityczne, w których jedno szkło ukazywało obywateli stojących po *prawej* stronie, w aureoli wszelkich cnót; drugie zaś, zwrócone na tych, co stali po stronie *lewej*, było wklęsłe i okopcone, wlec podawało karykaturalne zarysy i ponure barwy. Po prawej stronie Staropolski ujrzał t. zw. *Robów*, po lewej zaś t. zw. *Popsujów*. Któż to są ci osobliwi członkowie społeczeństwa „cudeńskiego”? A więc „Robowie są dużo liczniejsi i od wieków urabiają ziemię cudeńską, majstrują czasem usilnie i owocnie, czasem sobie zasną na czas dłuższy i dłużej w mózgu i sercach współobywateli; dbają o dorobki i tradycje; windują do góry ducha Cudnian za pomocą starych metod oświaty i dogmatyki narodowej; mają zwyczaj sprawdzania zawartości nowych prądów, przesiewania ziarna przeznaczonego do siewu przez sita krajowego pożytku—jakby w ziemi cudeńskiej nie wolno było plenić się każdemu ziarnu według rodzaju swego! Przy tych operacjach czyszczenia Robowie obchodzą się z przeciwnikami ideowymi gburowato, nazywając ich szkodnikami, za co im ci znowu odrzucają okrutne przewisko: endecy!”

Cokolwiek inaczej wyglądają *Popsuje*. „Namiętne podkopywanie dział Robów, dawnych i nowych, starczy im za widomy program... Myliłby się, ktoby sądził, że do popsujów należą tylko „Cepepy” („Cudeńska Partja Przewrotowa”), którzy się podobno mają za socjalistów. Są to wprawdzie umiętni wicherzyciele, ale wicherzicielstwo nie było dotychczas jedynym celem socjalizmu. Popsuje szerzej się rozrosli, niż stronnictwo Cepepów... Gdy bryła Robów składa się, jak każda bryła, z trzech wymiarów, a w tym przykładzie: z krwi rodzimej, z miłości ziemi i z woli obrończej, skład bryłowy Popsujów jest problematyczny, uchwytny tylko na gorących uczynkach psucia starego porządku.”

Ten uproszczony podział społeczeństwa w dialektyce figur działających ma wciąż jeden dobitny, uroczystym barytonem podkreślony przypiew: „caeterum censeo... wypędzić Żydów!” Ma to być, według Szaropolskiego, jedyne lekarstwo na największą klęskę społecznego życia w Polsce. Przez „nowożytność” poglądów Szaropolskiego chce Weyssenhoff wciągnąć czytelnika w długą dyskusję o prawa obywatelstwa na ziemi rodzinnej. Dyskusja podobna musi być, z natury rzeczy, *polityczna* t. j. pragnie oderwać nas podstępnie od walorów artystycznych utworu i wepchnąć na uboczną drogę walk o przekonania, partje, zasługi, „orientacje”, słowem w dziedzinę tak niedawno jeszcze żywą i zdumiewającą, ale już cokolwiek oddaloną — wzajemnego odsądzania się od czci i wiary, w którym odmienne metody służenia ojczyźnie rozkładano z niesłychanym pośpiechem na dwóch przeciwniejących biegunach: szczyt patriotyzmu i — haniebna zdrada.

Oczywiście, na ten teren dyskusji wciągnąć się nie damy. Weyssenhoff obiecuje nam „powieść”, więc możemy pomówić z nim wyłącznie jak z *artystą*. I odrazu, po związaniu w jedną całość luźnych rozpraw społecznych i obrazów, krystalizuje nam się wrażenie, które Stendhal tak skreślił: „Polityka jest kamieniem uwiązany

u szyi literatury, kamieniem, który ją pogrąży w przeciagu sześciu miesięcy. Polityka pośród wydarzeń wyobraźni jest wystrzałem z pistoletu podczas koncertu. Hałas tego wystrzału nie harmonizuje się z dźwiękiem żadnego instrumentu. Polityka obrazi śmiertelnie połowę czytelników a znuży drugą połowę, która odnajdzie energiczniejszą literaturę w dzienniku porannym”. I nic nie pomogą zapewnienia Szaropolskich, że teoria „sztuki dla sztuki” jest „jednym z tych błyskotliwych paradoksów, które rzucają czasem w ferworze walki dowcipni szermierze, a które następnie podnoszą na ulicy gapię, chcąc się w nie przystroić, albo złodzieje, chcąc je wyzyskać dla swoich celów”. Nie chodzi o to, aby najżywniejsze sprawy narodu nie miały być przedmiotem twórczości artystycznej; ale nie przestanie być *niegdy* w dziele sztuki najważniejsza teoria formy t. j. takiej doskonałości wyrazu, aby na czoło wysuwała się nie upiększona literacką dostojnością gawęda dziennikarska, ale — żywa namiętność ludzka, dobywana z najgłębszego wnętrza, z wieczystych źródeł duszy ludzkiej, odbitej i zsyntetyzowanej w wyobraźni twórcy.

W „Cudnie” artysta nie tylko zaniedbał konstrukcji utworu, nie tylko przeniósł punkt ciężkości do dywersji politycznych, ale nie wahał się w dialogach bronić zasady „pożytku” takiego sposobu *pisanju* (bo przecież nie *tworzenia*). Ludzie w Cudnie są niewolnikami teorii autorskiej; własnego indywidualnego żywota nie mają. Jeden z rozmówców opowieści mówi, że „każde dzieło sztuki musi mieć swój zamiar, zarówno artystyczny, jak filozoficzny”. Zamiary Weyssenhoffa w *Cudnie* wyłożone są niestety nie w giestach, uczuciach i przeżyciach bohaterów, ale w bezpośrednich rozprawach autora. Polacy Cudna przypominają orzeczenie Monteskiusza: „tak używają wolności, jakby ją chcieli obrzydzić innym”. Ideał nowego obywatela, Szaropolski nie może znaleźć w takim środowisku gruntu dla wyładowania swej energii: kupił fabrykę, ale po tygodniu robotnicy zastrajkowali, żądając zapłaty za rok zamknięcia fabryki przez poprzednika (sic!); zaczął sprowadzać z zagranicy sukno dla wojska, a tymczasem dostawę otrzymał na warunkach znacznie mniej dla wojska korzystnych kto inny, oczywiście Żyd; po nieudanych próbach pracy w mieście, wyjechał na wieś, zakupił dobra, należące niegdyś do jego rodziny, bo „w dotknięciu roli własnej jest dreszcz przeznaczenia człowieka”. Ale i tu czyha na niego strajk parobków i — reforma rolna. Co zrobić? Wstąpić do wojska? Nie: uparł się i będzie budował na wsi.. krochmalnię. I oto czytelnik dowiaduje się wreszcie, dla czego... płacić musi po 250 marek za wykrochmalenie koszuli, bo napewno *inżynierowi* Szaropolskiemu krochmal udał się nie lepiej, jak wszystkie inne przedsięwzięcia. Ale po zamknięciu ostatniej kartki powieści czytelnik tam nie dowie się, dlaczego w Nowej Polsce *powieść* ma być rozszerzonym dowolnie dziennikiem, dlaczego zgromadzenie w jedną całość różnych „kwestji” dni ubiegłych, wyjaskrawionych tendencyjnie a unikających promieni talentu artysty — musi być dziełem sztuki... I nie pocieszy go auto-reklama „zdrowego ziarna”: znajdzie je, pod innym pretekstem, w pierwszym lepszym sklepiku...

Jan Lorentowica.

## Na marginesie teatru.

Wystawiona w „Reducie“ komeđja współczesna p. J. Szaniawskiego p. t. „Ewa“ spełnia niezmiernie doniosłą rolę pedagogiczną. Zniwala bowiem do zadania pytania, dlaczego się ludzie nie śmieją?

Cały zespół aktorski gra znakomicie i właśnie ta doskonała gra, którą podziwiamy z punktu widzenia kunsztu i techniki, tembardziej zmusza do zadania takiego pytania.

Czy komeđja może nie być komeđją?

A więc czy komeđja może nie zawierać ani krzty dowcipu, nie posiadać komizmu sytuacji, bądź zatargów komicznych, nie mieć śmiesznych postaci? Jeżeli tak, to „Ewa“ jest w istocie komeđją. Ale w takim razie musimy czempredziej przeprowadzić rewizję naszych pojęć o sztuce dramatycznej i komeđje Fredry umieścić na indeksie, mniemaliśmy bowiem o nich dotychczas, że są to perły polskiej sztuki komeđjowej. A śmiesznych postaci jest tam przecie bez liku, skrzą się one dowcipem, każda obfituje w zatargi komiczne. I pomimo tego, że komeđje—sit venia verbo—Fredry dziś dla nas nie są współczesne, śmiejemy się serdecznie... Śmieliśmy się niedawno z kłopotów pana Beneta.

Ale jeśli sztuki Fredry śmiech ludzki wywołują i to dosyć łatwo, jeżeli te sztuki są komeđjami, to może „Ewa“ nie jest komeđją?

Bardzo już dawno Marek Aurell powiedział obrazowo, że żaden trud nie jest nienaturalny dla ręki ani dla nogi, dopóki noga czyni to, co jest obowiązkiem nogi, a ręka ręki.

Twórczy trud pisarza jest naturalny wtedy, jeśli komeđjopisarz wywołuje śmiech dzięki komicznemu typowi, bądź śmiesznej sytuacji albo na skutek dowcipu, jakim tchnie dialog jego postaci. Osoby jego sztuki nie koniecznie mają być realne, mogą być nawet fantastyczne, opromienia je wtedy aureola poezji. Przeżycia ich stają się wtedy jaskrawsze i nam bliższe.

Komeđjopisarz może mleć duszę i śmiech o różnej skali, ale dominantą jego twórczości jest śmiech. Komeđjopisarz musi się sam śmiać.

„Ty byś groby otwierał, gdybyś wiedział, że tam ziarno śmieszności znajdziesz“ — powiada w „Panu Jowlalskim“ Wiktor do Ludmira.

Wtedy nie zadajemy sobie pytania, dlaczego się śmiejemy, tylko się właśnie śmiejemy. Reagujemy w sposób naturalny na również naturalny twórczy trud komeđjopisarza.

W „Papierowym kochanku“ tegoż samego autora, mieliśmy nietylko komizm sytuacji, ale były i typy śmieszne, a nawet dialog był dowcipny. Rozmowa Hipolita z Elektrotechnikiem jest dowcipna i zabawna nietylko dlatego, że tę scenę grał Zelwerowicz z Maszyńskim, ale ponieważ autor ustawił typy w sytuacji komicznej, obdarzwszy je dowcipnym dialogiem. Tymczasem w „Ewie“ świetny komeđjowo typ stworzył... aktor, p. Miciński, grający nauczyciela. Nauczyciel mówi dwa lub trzy słowa, autor najbardziej nawet szkicowo typu nie zaznaczył. Postać komiczną stworzył dopiero aktor, dając jej swoje własne przeżycie, swoje własne tło psychologiczne.

Mam wrażenie, że autor, patrząc na p. Osterwę, grającego rolę tytułową, był zdziwiony, że tak właśnie wygląda bohater jego sztuki. (A propos, przed premierą były 182 próby!). Pan Osterwa bowiem, który ma szlachetną a w Polsce niesłychanie rzadką pasję szczerzego wysiłku, nietylko wyreżyserował sztukę doskonale, ale i sam zagrał znakomicie. I właśnie dzięki temu, w sposób jaskrawy widzieliśmy, co jest z autora, a co z aktora. Gra, miast zatuszować, owszem, uwiadaczniała tę prawdę, że talent aktorski i reżyzerski stworzy typ, ale nie skomponuje sztuki.

W łańcuchu — autor, aktor, widz — słuchacz: scenarzysta musi pisać autor.

Pierwsze ogniwo (autor) jest niepotrzebne dla Charlie Chaplin'a, który tworzy na ekran tylko dla widza. Wtedy wystarcza aktor. Teatr jednak bez pisarza obejść się jeszcze zupełnie nie może.

Zarówno Frenkel jak i Gasiński są urodzonymi komikami o pierwszorzędnym talencie.

Atoli, gdyby autor nie stworzył komicznych sytuacji i śmiesznych postaci i nie obdarzył sztuki swej dialogiem dowcipnym, to czy talent Frenkla wywoływałby salwy śmiechu? Jego sztuka aktorska mogłaby nas utrzymywać w napięciu zainteresowania, zależnego zresztą od odpowiednio zręcznej intrygi.

Ale tylko to, co mówią i czynią postaci komeđji Mieczysława Fijałkowskiego, granej w „Rozmaitościach“, pozwala Frenklowi tak inkarnować typ, że wżruszamy się wraz z autorem. Zamiera nam serce z trwogi, gdy zamiera jemu, śmiejemy się wtedy, kiedy się on śmieie. Autor, na drodze twórczej sugestji pisarskiej wszedł z publicznością w teatrze w pewien stosunek psychiczny. Oczywiście za pośrednictwem odpowiedniego „kontaktu“: gry aktorskiej. Niewłaściwy kontakt, czyli złe lub nieodpowiednie wykonanie aktorskie wywołuje zaraz pewną dysharmonję. „Czujemy“ wtedy autora, ale nie jesteśmy z nim w „łączności“. Nie obcujemy z nim w tej samej sferze wżruszeń. Właśnie p. Helena Zahorska, zdolna, może utalentowana aktorka, o znakomitych wprost warunkach scenicznych, w roli Mary w akcie I-ym nie wywiera pożądanego wrażenia. W stosunku do klimatu, że tak się wyrażę, całokształtu sztuki, jak i w stosunku do dalszych transformacji swej roli, p. Zahorska w akcie pierwszym była, z punktu widzenia gry scenicznej, typem biernym. Gra za pomocą techniki zewnętrznego wyrazu. „Patrzenia z „góry“, jest zbyt łatwym środkiem, zwłaszcza tam, gdzie trzeba dać wnętrze, duszę. A przecie p. Zahorska potrafi się zdobyć i na akcenty wysokiej miary, czego dała dowód w scenie końcowej drugiego aktu. I tu pisarz ma dużo do zawdzięczenia artyzmowi aktorki.

Postać Mary i Józefa Skalskiego jest przez autora rzucona na tło innej duszy, innego typu. Trzeba grać na podstawie kontrastu typów. Jakże świetnie interpretował J. Śliwicki (Skalski) typ defetysty na tle zatraconego wojaka Poraj-Lipskiego (Józef Węgrzyn). Wykonanie tej postaci przez J. Węgrzyna zasługuje właściwie tylko dlatego na podkreślenie, że pewna manjera patosu, tak długo uprawiana przez tego utalentowanego aktora niemal w każdej roli, tym razem go opu-

ścisła, przez co typ dał bardziej plastyczny. Jakże np. dobrze była zagrana pierwsza scena trzeciego aktu: scena, w której porucznik Poraj-Lipski (Węgrzyn) wraca, uciekwszy, z niewoli bolszewickiej.

Przeżycia roku ubiegłego, związane z wojną polsko-bolszewicką, posłużyły p. Mieczysławowi Fijałkowskiemu, za tło, na które rzucił dobry obraz komedjowy. Świetnie podchwycione są typy, zręcznie wyzyskane komiczne sytuacje, jak choćby manja teozoficzno-astralna, która się coraz bardziej w społeczeństwie rozwielmożnia. Sztuka pełna jest życia. Autor śmieje się serdecznie z oblatującego strachem przed bolszewikami obywatela ziemskiego i ten śmiech jest zaraźliwy. Autor ma sentyment dla majora Bodzanty i porucznika Jerzego Poraj-Lipskiego i ten sentyment udziela się widzowi. Wprawdzie aktualne typy w sposób wprost kapitalny stwarzają Frenkel i np. M. Myszkiwicz (wachmistrz Ryś), ale — czarują nas aktorzy, sugestjonuje autor.

Dominantą „Wiernej kochanki“ jest komejdowość, zaś „Ewy“, ach, sąd onej wydał już Chamfort, mówiąc, że „najbardziej straconym dla człowieka jest dzień, w którym się nie śmiał“.

Jeżeli tedy z punktu widzenia pragmatycznego, a więc użyteczności spojrzymy na komedję Stefana Kiedrzyńskiego „Czysty Interes“, wystawioną w Teatrze Małym, to widzimy, że spełnia ona zadania sztuki teatralnej.

DIALOG dosyć niekiedy dowcipny. Sytuacje zręczne. Postaci charakterystyczne. Porozumienie z widownią autor osiągnął w płaszczyźnie aktualności, a więc, idąc po linii najmniejszego oporu artystycznego. P. Kiedrzyński w swej komedji rozwiązał (mniejsza oto, w jakiej skali) problemat społeczny. Napisał satyrę. Ale w znacznie mniejszej już mierze rozwiązywał zagadnienie artystyczne. Traktował je raczej na marginesie swej sztuki. I dla tego poszczególne akty „Czystego Interesu“ możnaby zatytułować: akt I-szy — komedja, akt II-gi — melodramat, akt III-ci — farsa.

Artystycznie sztuka jest nierozwązana, bo niema problemu dramaturgji w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. Niema przeżyć autora w stosunku do postaci, które tworzy. Bohaterka komedji, Monika, jest typem zgoła fałszywym, bo została stworzona wskutek fałszywego, co wleceją, obłudnego — pod względem twórczym! — stosunku autora do tej właśnie postaci *kobiecej*.

Nie jest ona wynikiem przeżyć pisarza ani jego obserwacji, jeno określonym trybikiem w akcji teatralnej. Nie jest to dusza, tylko rezonans, który autor wywołuje odpowiednio do tego, co mu potrzebne w akcji. Pan Kiedrzyński bowiem, jeśli można tak powiedzieć, jest „teatropisarz“. Posiada niepowszedni nerw sceniczny. I stwarza teatr. Pisze kaalembuy, układa zręczne sytuacje sceniczne. Znajduje porozumienie z widzem i słuchaczem, bo daje aktualny obraz sceniczny. Latory zbierają dlań aktorzy, bo tworzą typy. I jakie typy!

Czy widział kto podobne arcydzieło, jak typ Jana Kordelasa, przez Fertnera? Patrząc na tego współczesnego „przemysłowca“, miało się wrażenie, że to ktoś z ulic Warszawy, z jej cukierni, a nawet może z widowni teatralnej wszedł na sce-

nę. Typ nouveau-riche'a warszawskiego, ale jaki typ!

Gorkij opisywał kiedyś taką babę, która gotowa była zarznąć z miłości. Otóż Fertnerowski Kordelas jest spekulantem dobrotliwym, z sercem. Jest to jeden z takich lotrów, co to, obdzierając z nas skórę, wzbudza jeszcze dla siebie współczucie.

Przecie to on się poświęca!!

Podziwiać trzeba werwę, humor, intuicję i, Boże Drogi, ileż jeszcze zalet tego znakomitego komika polskiego!

Jak jednak warunki społeczne i polityczne wpływają na twórczość autorską i aktorską. Zarówno dla pisarzy, jak i dla aktorów rozszerzyły się niejako granice twórczości. W galerji typów Fertnerowskich Kordelas jest to niby zawsze ten sam Fertner, a jednak jaki inny!

Inny o wszystkie polskie przeżycia czasu wojny!

Intuicja i wrażliwość aktora dały nam artystyczny obraz jednej z współczesnych postaci z tego gatunku co to „tworzy przyszłość“

Pod względem artystycznych wartości jest to kreacja stojąca na równi z interpretacją Lenina przez Brydzińskiego. Aktor w skrócie typu charakteru syntetyzuje epokę.

Jest to zadanie i autora także. Kiedrzyński osiągnął je tylko w sferze techniki typu teatralnego. Ale zdaje się, że nie stawiał sobie innych zamierzeń.

Komedja. Publiczność chce się śmiać. A niechże zobaczy na scenie siebie lub swoich bliźnich. Zobaczy bliźnich w karykaturze: efekt teatropisarza osiągnięty. Zobaczy siebie: tem lepiej dla pisarza, tem gorzej dla teatru.

Wł. Wolert.

## Mieczysław Karłowicz.

Człowiek o duszy płomiennej, duchem wiązający, zapatrzony w bezkresy, poszukujący prawdy odwiecznej a nieuchwytniej, przepojony tęsknotą — takim był Karłowicz.

Stał on jakby po za światem. Wszystko ziemskie było mu tak znane i tak niegodne uwagi, że wszystkie jego uczucia i myśli były skierowane ku tajemnicy zaświatowej. Z wyrazem filozofa, który wszystko zgłębił, patrzył on na ludzi z bezgranicznie dobrym i pobłażliwym uśmiechem. W utworach jego wyczuwa się dążenie do połączenia się duszy z najwyższym pierwiątkiem boskim, który jest rozlany w całym wszechświecie. Takim poszukującym i tęskniącym duchem, żyjącym w świecie fantazji, był również artysta malarz Czurlanis. Twórczość tych obu artystów jest bardzo do siebie zbliżoną. Obaj widzą i czują nieskończoność, obaj zgłębili i wczuli się w miłość i śmierć. Z najgłębszych emocji ich ducha spływają na świat wizje o konturach i barwach fantastycznych, o treści symbolicznie-mistycznej.

W pierwszych swych utworach Karłowicz kształtował się na Liszcie i Straussie, dopiero „Odwieczne pieśni“ (pieśni o śmierci, o miłości i o wszechbycie) są utworem oryginalnym, odzwierciedlającym jego filozoficzno-mistyczne skłonności duchowe.

W swoich kompozycjach Karłowicz rozwinął technikę orkiestrową do szczytów wirtuozeryj. — Jednak technika ta nie jest dla niego celem, lecz drogą, prowadzącą do wypowiedzenia jego duszy.

Programowość muzyczna Karłowicza nie ma nic wspólnego z naturalistyczną programowością niemieckich kompozytorów, pozbawionych poczucia rozmachu i linii melodyjnej. Programowość jego jest pełna poezji. Utwory Karłowicza, które powstawały pod wpływem gorących przeżyć, przez otrzymanie od swego twórcy odpowiedniego tytułu, nie dopełniają tem muzyki, lecz niejako uprzedzają słuchacza, w jakim kierunku idzie myśl twórcza.

Muzyka zaś stanowi całość sama przez się, nie stosuje się do szczegółów programu i możemy zaobserwować, jak myśl twórcza stopniowo przybiera coraz szersze, coraz potężniejsze kształty, jakby starając się rozszerzyć ramy dotychczasowego materiału muzycznego, który jest zaciąsny i posiada za mało bogate i subtelne dźwięki, by mogły zmieścić w sobie i wyrazić to wszystko, co artysta ujrzał w głębinach zaświatowych, do których duch jego dopłynął i skąd nie powróci, nim z wysokości tych sfer wieczystych nie objawi się prawdy i piękna, które mu się stały objawieniem. I zdawało się, że bardzo niewiele pozostawało do tego, by artysta do tej prawdy dotarł, lecz gdy już, już miał ją uchwycić, skrzydła mu się ułamywały i w bolesnej rozterce spadał na ziemię, by nanowo tęsknić, nanowo wzbijać się w przestworza i w tęsknocie nieukozonej, w cierpieniach twórczych rodzić nowe obrazy, nowe idee, nowe muzyczne arcydzieła. Im więcej wsłuchiwać się i wczuwać w utwory Karłowicza, tembardziej dusza zespala się z wszechświatem, który się przedstawia, jak obraz płomienny, mieniący się tysiącami barw, wirujący i falujący w niezmiernie przestroni, obraz, który jednocześnie przysłania i objawia, odbłasków którego ludzki mózg, biedne serce ogarnąć nie są w stanie. Wyczuwa się piękno niedościgłe ponad lśniącem blaskiem miriadów gwiazd, wyczuwa się natchnioną duszę artysty, która przyszła wprost z płomiennego serca przyrody, by nas do prawdy odwiecznej a niepoznanej zbliżyć.

I tak, jak artysta w mękach cierpienia pragnie wyrazić w dźwiękach muzycznych obraz nieskończoności skończonością, my pragniemy odczuć i zrozumieć artystę, dążąc duszą i myślą za jego twórczością.

Nasza tęsknota łączy się z tęsknotą twórcy „Odwiecznych pieśni“, a pytanie o przyczynę przyczyn pozostaje nadal trwożnym i niezaspokojonym pytaniem.

Poemat symfoniczny na orkiestrę „Stanisław i Anna Oświęcimowie“, zawierający w sobie liryczne i dramatyczne tematy, jest bodaj najlepszym utworem Karłowicza.

„Litewska oplewieść“ Karłowicza zawiera w sobie motywy litewskie, które mają specjalnie szary koloryt, przesiąknięty głęboką melancholią. Opowieść ta nasuwa przed oczy ziemię Litewską, pogrążoną w odwieczne swe lasy, posiadające charakter mistyczny i nieprzenikniony.

Wszystko, co tam człowieka otacza, a więc jeziora ogromne, otoczone krzewami, pełne nenufarów i lilji wodnych, które posiadają swoją tajem-

niczną duszę i które żyją, wysepki otoczone stojącymi bagnami, najeżonemi roślinnością wodną, groźne pomruki żubrów, przerywające uroczyste milczenie lasów, posiada urok czarodziejski, wszystko jest przepelnione niepokojem, smutkiem, że ciągle się oczekuje zjawienia się czegoś niezwykłego. Podania na tle dawniejszych wierzeń stwarzają obrazy czasów pogańskich, gdy „w głębi lasów, na ołtarzach z granitu paliły się ognie wieczne, chóry kapłanów i dziewic, poświęconych temu kultowi, wyśpiewywały hymny melodyjne, a kadzidla płonące w cieniu dębów święconych słały swe wonie postaciom bogów, umieszczonych na ich stuletnich szczytach“.

Napisał Karłowicz przepiękne pieśni, o których tu w braku miejsca nie będę mówiła.

Warunki niesprzyjające rozwojowi jego niepospolitego talentu w kraju zmusiły go, jak wielu innych artystów, do emigracji za granicę. Tęsknota za krajem powodowała jego częste podróże do Zakopanego, a Tatry stwarzały nadzwyczajną atmosferę dla jego twórczej pracy.

Karłowicz kochał Tatry, jak może kochać orzeł swoje gniazdo nad urwiskiem skalnym zawisłe, by z jego szczytów spoglądać na góry, doliny i potoki, na siedziby ludzkie, rozrzucone nad skalnem podhalem i u podnóża gór, skąd Morskie Oko wydawało się czarną, przepastną otchłanią, a światła pozapalane ręką ludzką błędnymi ognikami, mamiąciami i ludząciami oko, by podróżnika na błędne tory sprowadzić. Ze szczytów skalnych obserwował on lot ptaków w krainy nadobłoczne, a śnieżne całuny, pokrywające góry, drogi i ścieżyny górskie tworzyły niebezpieczny gościniec do przebycia, łączący królestwo gór z królestwem doliny. I człowiek—duch, myśliciel natchniony, który na szczytach górskich, w ekstazie dumnego natchnienia, przy pomocy narzędzi przez niebo stworzonych, niebo dla nas zdobywał, zstępując w dolinę życia ludzkiego, niosąc nam w darze nowe światło, nową myśl twórczą, nową garść tonów, pogrążył się w biały całun śnieżny, który wraz z nim pochłonął jego pieśń muzyczną, której ludzkość nie miała już nigdy usłyszeć.

*Ewa Serebnicka-Oleszkowska.*

## Piśmiennictwo polskie.

*Pisarze polscy i obcy.* Księgarnia Gebethnera i Wolffa podjęła wydawnictwo pod zbiorowym tytułem „Pisarze polscy i obcy“. Pierwsze trzy tomiki zawierają Adama Mickiewicza „Dziadów“ część trzecią, Juliusza Słowackiego „Trzy poematy“ (Szwajcarja, — Ojciec zadżumionych, — Wacław), tudzież „Monomachja“ Krasickiego. Urok i pożyteczność wydawnictwa podnoszą przypisy i syntetyczne opracowania, skreślone piórami kapitalnych specjalistów Borowego, Klejnera i Zofji Gąsiorowskiej—Szmydłowej. Inteligentny ogół nie będzie potrzebował sięgać do dzieł, zajmujących się rozbiorem twórczości danego pisarza, mając przed sobą podobne wydawnictwa, skracające i uproszczające problem zrozumienia zagadnień twórczości narodowej.

*Wł. Ko—c.*

*Oppman Arthur*: Baśń o Szopce. Z ilustracjami Plewińskiej-Smidowiczowej. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Są rzeczy tak na wskroś rodzime, tak swoje i przepojone gniazdowo-narodowym pierwiastkiem, że przez pokolenia unosić będą zapach polskich pól, dźwięk piastowskiego słowa i tężyźnię duszy społeczeństwa. Gdziekolwiek je przeniesie, nawet na antarktydę, nawet do gajów podzwrotnikowych, wezmą z sobą nierozłączną woń kraju, z którego krwi i utajonej nuty powstały. Nic ich nie potrafi zmienić ani obrzucić powłoką obcej naleciałości. Są to istotne skwarce, błyszczące kryształikami, które pozna każdy badacz na pierwszy rzut oka i oznaczy ich geograficzne pochodzenie. Pominąwszy przepiękną w naiwności fabułę „Baśni o szopce”, baśni wysnutej z przędzy tradycji i powiewnej fantazji poety—lirnika, zawarte są tu i ówdzie przypomnienia chwili współczesnej, jakby gorące i od niechęcia rzucone kleksy, w niczem jednak nie mącające nastroju szopki. Po pierwszym akcie, zaludnionym postaciami: Palipieca, św. Mikołaja, Kopciuszka, Snieżki, Rokity i t. d., przesuwają Oppman akcję jasełek do swojej ukochanej Starej Warszawy — i wypycha na scenę figury emeryta, Icka zapieczętowanego, sybilara, przekupki, piaskarza, monologujących na swój temat lub duety złożone z szatkownika i drwala, z husara i dziewczyny etc. Po akcie trzecim typowo-szopkowym, stanowiącym rozwinięcie akcji o śmierci Heroda tak, jak ją w skrótach znamy z jasełek, choćby układanych przez Anczyca,—następuje czwarty, zupełnie współczesny, wiązanka prześlicznych wierszy patriotycznych i obrazujących uczucia za pośrednictwem przedstawicieli rozmaitych broni lub zawodów. Kończy się to wszystko isticie żołnierską piosnką o komendancie:

„Kędy w przestrzeń wzrok się wzbija,  
Tam mogiła polna;  
Lecz dziś Polsko, tyś niczyja,  
Tylko nasza — wolna.  
Hej, wy groby życiem żyźne,  
Do apelu staście:  
Bóg ci zapłać za Ojczyznę,  
Panie Komendancie!”

Stylowe ilustracje Plewińskiej—Smidowiczowej ozdobiły stylowe karty jednego z ostatnich pieśniarzy tak bliskich Gosławskiemu, Lenartowiczowi i plejadzie legionowych trubadurów. *Wł. Ko—c.*

*Marja Niklewiczowa* — „Taniec poezji”. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i Spółka, Warszawa — 1922 r.

Klan poetów podzielić można z grubsza na dwie kategorie: twórców, którym wypowiedanie rozsadzających piersi uczuć przychodzi bez żadnej trudności oraz twórców, którzy muszą wyteńczyć wszystkie znajdujące się w ich rozporządzeniu siły woli i siły ducha, by rozprysnięte w tysiącnych atomach uczucia zebrać i wizję poetycką w cielesne kształty przyoblec, inaczej — dla których tworzenie to — ból matki, wydającej na świat dziecko.

Na tych pierwszych twórców czyhają tysiączne niebezpieczeństwa w postaci maniery, zbanalizowania i niedbalstwa, towarzyszących wrodzonej łatwości w wypowiedaniu swych przeżyć. I trzeba, rzeczywiście, ogromnej dozy krytycyzmu, — czuwającego, by tych niebezpieczeństw uniknąć i nie wpaść w samotrzask

banalności. Druga kategoria twórców żyje w ciągłym wysiłku twórczym. Każde dzieło sztuki wydaje ona na świat w mozolnym trudzie i w pracy ducha, gdyż ta właśnie trudność w uzewnętrznianiu przeżyć wewnętrznych trzyma w ryzach krytycyzmu twórcę.

Myśli te nasunął mi wydany ostatnio tom poezji p. Marji Niklewiczowej, którą bezwzględnie zaliczyć trzeba do rzetelnych talentów poetyckich ostatniego pokolenia, której jednak łatwość tworzenia nasuwa mi pewne wątpliwości. Że mamy do czynienia z prawdziwą poetką, potwierdza to wiersz czołowy „Taniec poezji”. Według mego zdania jest on najlepszym wierszem z całego tomu pod względem konstrukcyjności poetyckiej, to znaczy, że treść i forma stoją w ściślejszej ze sobą łączności. Ujawnia on przytem mękę tworzenia, dając czytelnikowi istotną satysfakcję duchową. Resztę wierszy, rozsypanych z możliwą isticie hojnością, cechuje ta właśnie łatwość w przeżywaniu i budowaniu, którą krok jeden tylko dzieli od banalności. Z łatwości tej wypływa i pewna niedbałość w budowaniu zdań, i zaniedbanie formy, i stosowanie tu i ówdzie rymów ogranych i zużytych przez wszystkich poetów.

Że żywię do autorki głęboką sympatię i widzę w talencie jej zaródź nowych wartości, „jak ból czekania, o którym nikt nie wie”, napisałem tych słów kilka, które zadrasną — być może — ambicję poetki, ale które płyną tylko z chęci przestrzeżenia autorki przed niebezpieczeństwem, jakie czyha na nią na drogach twórczości.

*E. K.*

*Rabindranath Tagore*. — „Ogrodnik”, „Pieśni miłosne” — przekład Julji Dicksteinówny. Warszawa 1921 r.

Owieczny problemat miłości człowieczej, poruszany przez wszystkich poetów świata, że wymienię nieśmiertelne imiona — Wergiljusza, Danta, Petrarki, Byrona, lśniące w długim korowodzie piewów miłości, jak słupy graniczne, znalazł nowe wręcz ujęcie w „Ogrodniku” Rabindranatha Tagore.

Uczucie miłości u wielkiego poety hinduskiego ma podkład filozoficzny. Wyrasta ono z zagadnień metafizycznych, prześwieconych jakby promieniami kosmicznego panteizmu, nie tego jednak, który w dziełach przyrody widzi kres poszukiwań człowieka. Wiara mistyczna w posłannictwo człowieka wiąże nierozzerwalną nicią cały świat z istotą Boga. Ta właśnie wiara ratuje Rabindranatha Tagore od krańcowego panteizmu, od którego krok jeden tylko — do doktrynerskiego bałwochwaltwa.

„Nam starczy to, co dać możemy i otrzymać. Nie wycisnęliśmy radości po ostatek, aby z niej wytłoczyć wino cierpienia. „Miłość między nami prosta jest jak pieśń” — powiada poeta. Ta filozoficzna prostota, z jaką Rabindranath Tagore poddaje analizie rosnące uczucie miłości, doprowadza go w konkluzji do wzruszających wręcz wyznań: „Tylko jedno pole nas rozdziela. Pszczoły, co w naszym lasku mają ule, lecą miodu szukać w jej ogrodzie. Gwiazdy, co śmieją się nad jej chatą, i nam tem samem mrugają spojrzaniem”.

Pogłębienie drogą mistycyzmu powszednich napozór zdarzeń nadaje strofom tym znamiona tajemnicy, urastając powoli do potęgi metafizycznych problematów, nurtujących wszystkie po kolei pokolenia minione. „Czy prawdą jest, jest-li prawdą, że miłość twoja wędrowała samotna skroś wieków i światów,

mnie szukająca? „Bo dni wiosenne w kolei czasów, pełnia ponika, ażeby znowu zawitać na niebie, kwiecie powraca i rok za rokiem różowi się po gałęziach, może więc ja także żegnam się z tobą, abym wrócił jeszcze“.

Wreszcie dochodzi poeta do wniosku, że życie nie jest marnościami. „Albowiem nareszcie zawarliśmy rozejm ze śmiercią i na kilka wonnych godzin staliśmy się oboje nieśmiertelni“. „Życie nasze jest krótkie, — kilka dni ledwie użycia miłości“. Ta miłość wędrująca w różnych odmianach, miłość męszczyzny do kobiety, człowieka do człowieka, wreszcie człowieka do całego świata, zlewa się w „Ogrodniku“ w jeden wielki ocean miłości, tętniący utajonemi akordami poezji zaświata.

Przekład poprawny.

E. K.

*Dębicki Zdzisław*: Za Atlantykiem. — Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wytworny fejetonista, Zdzisław Dębicki, bawił w połowie 1920 r. w Stanach Zjednoczonych i wrażenia odbite w duszy z przelotnej podróży, utrwalił w sposób niezmiernie żywy, gładki i sam przylegający do umysłu czytelnika. Jeżeli świadomie dorzucam do nazwiska Dębickiego określenie „fejetonista“ — to bynajmniej nie w chęci przeskokowania ponad czułym poetą, tylko w chęci uchwycenia najznamienniejszego rysu „Za Atlantykiem“. Jestto istotnie zbiór bardzo zręcznych fejetonów, spostrzeżeń oprawionych w ładną formę, zgrupowanych z zacięciem beletrystycznym. Autor nie pogłębia wywodów, nie posługuje się uczonym taborem, rzuca tylko uwagi, ma gotowe syntezy, bez rozbioru podłoża, z którego wyrosły. Wszędzie i zawsze przyświeca mu słuszna zasada: „Musimy znać Amerykę nie tylko z legendy, ale z jej prawdziwego, rzeczywistego oblicza“ i t. d. A to oblicze — jak Dębicki wykazuje — wcale niema wyrazu dolara i wyłączności gonienia za mamona. W źle nastawionem zwierciadle widzieliśmy dotąd mieszkańców kraju gwiazdowego w pewnej skrzywionej karykaturze, tańczącej koło złotego cielca. Można się czasem posprzeczać z Dębickim w prostowaniu błędnych linii naszych domorosłych pojęć i w wysłonecznianiu yankesów... Twierdzi on np., że Stany Zjednoczone, podniosły broń ze względów ideowych, — zadowolili się jedynie „tryumfem moralnym“ i nie wyciągnęły „ręki po żaden z owoców zwycięstwa“. Ale „owoce zwycięstwa“ dojrzewały nie tylko w zagarnianiu terytoriów, lecz także i zysków materialnych, zupełnie bezprzykładnych w dziejach świata, z uczynienia starego kontynentu dłużnikiem nowego i narzucenia mu właśnie przez to supremacji w pewnych kwestiach politycznych. Pochwała sprawiedliwa dla działalności Ymci, pochwała, na jaką zdobyć się może serce nie płonna krytyka, przynosi ulgę wobec fałsetów, które odbywały się u nas, zupełnie zbędnie. Z kart książki łatwo się przekonać, że wielki pisarz więcej potrafi zrobić dla swojej Ojczyzny niż gabinetowi i negabinetowi dyplomaci i politycy swoją sztuką. Kiedy pewnego razu towarzystwo Amerykan schylone nad mapą, gawędziło o wschodnich granicach Polski zauważył obecny kapitan armii Stanów Zjednoczonych, że Kamieniec, w którego obronie zginął Wołodyjowski, musi należeć do Rzeczypospolitej... Polonji amerykańskiej poświęcono odrobinę miejsca na samym końcu. Praca Dębickiego jest przemilą lekturą.

Wł. Ko—e.

*Skalkowski Adam*: Polacy na San Domingo 1802—1809.

Autor przecennej książki: *Les Polonais en Egypte 1798—1801* wziął sobie za honor wydeptać szlaki, uświęcone stopą polską na zamorskich przestrzeniach w okresie napoleońskiej epopei. Niesłychanie żmudne zadanie sięgnięcia do źródeł, rozproszonych po obcych archiwach i odkopanie ich z pod piasków zapomnienia, ułatwiła mu benedyktyńska pracowitość nie cofająca się przed najcięższym zamierzeniem. Ten żmud, ten trud, te wysiłki poławiająca perła, idącego aż na dno morskie, aby mu wydrzeć tajemnicze skarby i przerażać się przez gąszcze wiadomości nieujawnionych, cechują w wysokim stopniu książki Skalkowskiego, poczęte i przeprowadzone przez rutynistę niezwyklego i systematyka wytrwałego. Może „Polacy na San Domingo“ obfitują w te właściwości więcej nawet niż nadmienione francuskie dzieło i rozpoczęta, a niestety nie dokończona monografia o Janie Henryku Dąbrowskim. I właśnie wskutek stłoczenia faktów, wskutek nadmiernie obszernego opisu powodów i przebiegu ruchu wyzwolenieckiego na San Domingo (28 stron na 109 tekstu) jeszcze przed złączeniem z perłą Antylów losu polskich formacji, zaciemniła się nieco przejrzystość opowiadania i straciła na sile przyciągającej czytelnika dyletanta. Natomiast człowiek nauki, fachowiec zwłaszcza, pójdzie chciwie i rączy za hasłami dzieła, oświetlającem pękiem wydarzeń najistotniejszych desperacką wyprawę polską i względy, które skłoniły Napoleona do rzucenia „mięsa polskiego“ w kleszcze żółtej febrzy. To, co Skalkowski podaje w cyfrach i zająsciach może jeszcze dziś zjeżyć włos na głowie i pchnąć do rozważki nad marnościami losu wszelkich t. z. armji auksyljarnych...

Ciekawe szczegóły o bytowaniu legionu naddunajskiego w Rzeczypospolitej Cysalpińskiej aż do wsadzenia go na okręty i przeniesienia w tropikalne upały San Domingo, składają się na mozaikę o bardzo ponurych barwach, zaprawioną kłótnictwem, emigracyjnym ferworem i rozkładem, kulminującym w awanturnych pomysłach opanowania Rzeczypospolitej Egejskiej, celem zyskania zakładu dla rokowań z carem Aleksandrem!! Wystąpienie na San Domingo, aby pod Leclerc'em zwalczyć niebezpieczną ruchawkę murzyńską pod wodzą Toussaint-Louverture, zdziesiątkowani zostali przez choroby i tysiączne niedomagania, chociaż czarni umieli dobrze odróżniać Polaków od Francuzów, sympatyzowali nawet z nimi, ułatwiali im ucieczkę i oszczędzali naszych jeńców. A, gdy po latach zbliżał się już koniec i całe wysiłki skończyły się marnym rozgromem kolonialnej potęgi Napoleońskiej, znalazły się rozbitki legionowe, cienie ludzkie, jak późniejsze z pod Mołajaska i Moskwy, na Kubie, na Hawanie i Bóg wie na jakich półkuliach oceanowych odludziach. Chwilami przemykają przez karty sceny jakby z „Ojca zadumionych“. To bracia Petrykowscy giną na statku w uściskach żółtej febrzy; ich zastygłe ciała unoszą koledzy do Cayes nocą, aby je pogrześć cichaczem; to kapitan Zefferyn pada na obiedzie u Małachowskiego, dotknięty epidemją, to młody kwiat życia, porucznik Sufczyńskiego, wnoszą skoszonego śmiercią przed biesiadników. Groza naokół! Wobec niej niknie — jakby wesoty epizod — natknięcie się przez naszych wojaków na karczmarza żyda Majera z pod Rzeszowa, który wywędrował z Galicji austriackiej w poszukiwaniu za złotem. W tych krótkich ramach nie cho-

dzi o naukowy rozbiór dzieła wysoce naukowego, — tylko o zwrócenie nań uwagi, jako na powojenną jaskółkę, zwiastującą wraz z kilku innymi, szczęśliwy powrót do badań historycznych, tak niezmiernie ważnych i dla naszego społeczeństwa kapitałnie potrzebnych.

## Dla dziatwy i młodzieży.

Mimo utyskiwań na trudności wydawnicze plon tegoroczny wcale jest pokaźny. Wysoki koszt papieru i druku odbił się raczej na jakości wydawnictw i to tylko niektórych. Większość wydawców naszych nie decyduje się — mimo wszystko — na obniżenie poziomu artystycznego książek dziecięcych, dając — zwłaszcza dla dziatwy najmłodszej — prawdziwe klejnoty dobrego smaku, na których jedynie kształcić się może — zmysł estetyczny.

Takimi są przede wszystkim dwie przepiękne książki nieodżałowanej pisarki dla drobnej dziatwy, *Zofji Rogoszwony*: „*Bajeczki kolorowe*“, ozdobione wspaniałymi, w stylu nawskroś swojskim, ilustracjami podług wycinanek H. Józefskiej, w wydaniu J. Mortkowicza, oraz „*Dzieci pana majstra*“, rzecz szczerze humorystyczna, ilustrowana przez K. Mackiewicza, w wydaniu Gebethnera i Wolffa. — Wysoka wartość artystyczna cechuje też czytanki obrazkowe: „*Przygody Janka Marynarsa*“ „*Przyjaciele zucha*“ *M. Markowskiej*, którą zdobią śliczne kolorowe wizerunki zwierząt i *Rogosa Walewskiej*: „*Dzień Władzia*“ — wszystkie w wydaniu T-wa Wydawniczego. — A już perłą prawdziwą w tym dziale jest wytwornie wydana bajka japońska *Leona Rygiera*: „*Starec i kwitnące drzewo*“, zdobne prześlicznymi, stylowo-japońskimi w rysunku i kolorycie ilustracjami A. Lagiewskiego. Książkę tę, stanowiącą jedno z najpiękniejszych wydawnictw gwiazdkowych tegorocznych, wydała Polska Składnica Pomocy Szkolnych. — Wogóle dział bajek dominuje zarówno ilością jak jakością utworów. Skromniej dużo — ze względu zapewne na możliwość dania tańszej książki, dostępnej dla wszystkich — wydała Książnica Polska 4 bajki *Juljusza Germana*: „*Jak Pan Bóg Niemca pokarał*“, „*O księżniczce z sa morza*“, „*O kocie królewiczu*“ i „*O Pawelku, który się dziwił*“ — wszystkie ilustrowane i wszystkie udatne. — Dla dzieci starszych przeznaczyć chyba musiał czarodziejską bajkę swoją: „*Przygoda Okruszaka*“ *Antoni Gawiński*, zarazem autor jej i ilustrator. Zarówno bowiem treść, jak i ilustracje tej przez firmę M. Arcta wydanej bajki zbyt są skomplikowane, aby młodszą dziatwa mogło zrozumieć je i należycie ocenić ukrytą w niej alegorię. Z bajek dla małych dzieci wydała firma M. Arcta uciészne „*Przygody szkolne Pimpusia Sadelko*“, opowiedziane przez *Mieczysława Pazurka*, oraz w powtórnym, niestety, iście wojennym — wydaniu naj-

większe arcydzieło polskiej literatury dziecięcej, „*Janka Wędrowiczka*“ *Marji Konopnickiej*. Inny warjant tego samego poemaciku oraz inne niedrukowane, pozostałe w spuściznie po wielkiej poetce utwory wydał obecnie M. Arct w 3-im tomie *Poezji dla dzieci* *M. Konopnickiej*. Wreszcie, jakkolwiek wydana w szacie nader skromnej, zająć musi w rzędzie bajek w tym roku jedno z miejsc naczelných prześliczna w treści, tłumaczona z angielskiego przez C. Niewiadomską, „*Dobra wróżka*“, wydana przez J. Lisowską.

Dawniejsze narzędzie tortur dla dzieci — elementarz — stał się obecnie, dzięki autorowi K. Grusowi i wydawcy, firmie Ignis, a nadewszystko dzięki ilustratorowi, źródłem rozkoszy dla oka i umysłu nie tylko dziecięcego, a może zwłaszcza niedziecięcego. Bajecznie ilustrowane „*A. B. C.*“ z pełnymi humoru dwuwierszami jest wydawnictwem zakrojonym na modłę najlepszych tego rodzaju wydawnictw zagranicznych. — Świetna bajka najlepszego bodaj humorysty polskiego, *Benedykta Herta*: „*Baśant złocisty*“ z wybornymi ilustracjami K. Mackiewicza oraz przeróbka dla dzieci Daudetowskich „*Przygód Imci Pana Tartarena z Taraskonu*“ — wyszły również nakładem firmy Ignis. — Dzieciom starszym przyniosła gwiazdka tegoroczna dużo nowości oraz nowych wydań. Na pierwszym pośród nich miejscu postawić można książkę, wnoszącą powiew oryginalny, nacechowaną głębokim zrozumieniem czynnika zasadniczego w pedagogice, jakim jest uspołecznienie dziecka. Książkę tę p. tyt. „*Nasza klasa*“ utalentowana pisarka dla dzieci, *Lazarusówna*, a wydała ją bardzo starannie i estetycznie młoda firma wydawnicza „*Ogniwo*“. Pokrewna „*Naszej Klasie*“ treścią swoją i założeniem jest wydana ponownie przez firmę *Hörsicka* ulubiona książka L. Alcott: „*Mah mężczyźni*“, która obok milej, zajmującej lektury — daje pierwszorzędną wartość wychowawczą. Natomiast zgola zbyt czynnem było ponowne wydanie — również przez firmę *Hörsicka* — niedopasowanej do naszych stosunków, przestarzałej „*Przekory*“ pani von Rhoden. Niezbyt fortunnym był też wybór przełożonego z francuskiego „*Pamiętnika psa*“, markiza de Cherville, wydanego przez firmę „*Ignis*“. Treść dość nikła, a tendencja wątpliwa, bowiem uprawniająca do pewnego stopnia kradzieży, co prawdziwym, ale bądź co bądź — kradzież, której gloryfikacja w książce dla dzieci jest niedopuszczalna.

W dziale literatury dla młodzieży dorastającej podkreślić przede wszystkim z uznaniem należy wydawnictwo, podjęte przez zasłużoną nestorkę polskich firm wydawniczych, firmę Gebethnera i Wolffa, — w postaci jubileuszowego wydania 4-o tomowego, z portretem autora „*Wyboru powieści Władysława Umińskiego*“. Ten polski *Mayne Reid*, *Cooper* i *Flammarion* w jednej osobie zasłużył na uczczenie go w ten sposób, na czem zyskała zarówno młodzież polska, jak i polska dla młodzieży literatura.

W dziale poczytnych zawsze u nas powieści historycznych dla młodzieży, których zadaniem było budzenie dławionego przez rządy zaborcze ducha narodowego, wysuwać się zaczynają nowe zgodne z duchem czasu, prądy. Wzrastające się w dwóch zwłaszcza utworach: w ślicznej, wzruszającej w swojej rzewności i prostocie, książce *Edwarda Słonskiego*: „*Na progu Polski*“, łączącej historycznie wierną opowieść z dziejów bohaterskiej obrony Lwo-

## Od wydawnictwa.

Prosimy naszych czytelników - przyjaciół o rozpowszechnianie dołączonych do niniejszego numeru prospektów „*Tygodnika Polskiego*“ na rok 1922.

wa z poetycko wplecionym momentem fantastycznym i w pięknie wydanej, z ilustracjami Niewiadomskiego, przez Gebethnera i Wolffa, a także wyróżniającej się dużym umiarem w traktowaniu opisów straszliwych przeżyć z inwazji bolszewickiej, pełnej szczerze lirycznych momentów, powieści *Heleny Zakrzewskiej* „*Białe róże*“, wydanej starannie przez firmę Ignis, z ilustracjami K. Mackiewicza. Obrona Lwowa dała też temat do szeregu dziejowo wiernych i literacko pięknych obrazków Wład. Orobkowicza, wydanych przez Książnicę Polską z funduszu wydawnictw Brygady Lwowskiej pod ogólnym tytułem: „*Z dziejów walk i cierpień na Kresach*“. Obok książki tego rodzaju i wielu innych o wartości pierwszej, wydanych przez Książnicę, razi tem bardziej książka Mieczysławy Śleczkowskiej: „*Z orląt—orły*“, stanowiąca szereg opowiadań dość sucho kronikarskich, ale nade wszystko pełna rażących usterek językowych, jak „poszukiwanie za sobą“ (str. 52) „potrzebniejszy jak“ (str. 13); „niebezpieczeństwo od wrogów“ (str. 137) i t. p., nie mówiąc już o zgoła fantastycznym przecinkowaniu, Niedopatrzenie braków tego rodzaju okupiła Książnica stokrotnie wydaniem — obok wielu innych — rzeczy tak zajmującej i pięknej, jak opis podróży *d-ra Władysława Waydy* do Australji pod tyt. „*Pod Krzyżem południa*“, bogato ilustrowanej mnóstwem ciekawych zdjęć oryginalnych.

Z książek historycznych, czerpiących temat z dawniejszych dziejów kraju, zanotować możemy z nowo wydanych powieść Marji Markowskiej pod tyt. „*Przejściem Wisłę, przejściem Wartę*“, z dziejów walk legionowych pod przewodem Dąbrowskiego, wydaną nakł. T-wa wydawniczego, zaś z przedruków rzecz W. Przyborowskiego: „*Młodei gwardziści*“ z Czasów oblężenia Warszawy przez Prusaków, w wydaniu M. Arcta.

Ta szczupła liczba utworów, napisanych w imię gloryfikacji czynów wojennych, stanowi zwrot znamenny w naszej ideologii pedagogicznej. Czujemy widocznie, że czas już, aby hasła nienawiści i walki, aż nadto dotychczas zrozumiałe i uprawnione, ustąpiły w literaturze dla młodzieży wysuwaniu wartości innych: szczepieniu religij miłości, głoszeniu hasła demokratyzacji społeczeństw, dążeniu do twórczej pracy pokojowej. W uznaniu kategorycznego tego imperatywu pedagogicznego powstały na Zachodzie i u nas organizacje skautowskie, których cele, dążenia i sposoby działania ujęte zostały w dwóch, wydanych przez Książnicę Polską, dziełach: „*Harce młodzieży polskiej*“ Piaseckiego i Scholibera w znacznie rozszerzonym i przerobionem nowem wydaniu oraz w bardzo ciekawym opisie Romana Pollaka „*Wyprawy skautów śląskich w Tatry i na Spis*“, niestety, pozbawionych ilustracji, o które dziełko to wprost się prosi.

Czynnikiem, niewątpliwie najsilniej i najowocniej działającym w pracy nad doskonaleniem młodych serc i umysłów, jest uprzystępnianie młodzieży arcydzieł literatury. Z radością też widzimy w tegorocznym plonie gwiazdkowym wydawnictwa takie, jak 2 tomy wyboru pism „*Stefana Żeromskiego dla młodzieży*“, umiejętnie wydane przez J. Mortkowicza, nakł. T-wa Wydawniczego, oraz niezmiernie cenna antologja z „*Z pieśni naszych*“, zebraną i ułożoną przez C. Niewiadomską, a wydaną — z przedmową prof. Ignacego Chrzanowskiego — nakładem J. Łisowskiej. Cudownie zmienione warunki nasze-

go życia politycznego sprawiły, że obecnie stało się koniecznością to ponowne, w 22 lata po pierwszym, wydanie „*Pieśni*“. Nietylko zakwitły one nowem życiem, ale wyzwolenie z pod czujnego oka cenzury rządów zaborczych dało nareszcie możność umieszczenia w książce wielu cennych utworów, usuniętych pierwotnie przez cenzora.

Oby książka ta — krynica natchnień narodowych, drogowskaz ideałów szczytnych, skarbnica myśli wiecznych — oby znalazła się w każdym, kształcącym młode pokolenie, domu polskim, a wówczas stanie się ona tem, czem być powinna, książką — czynem.

R. Centnerszowerowa.

## Czasopisma.

„*Kupiec*“ w Gdańsku.

Najstarszy tygodnik polski handlowo-przemysłowy „*Kupiec*“, przeniósł się do Gdańska, pragnąc stworzyć połączenie między handlem a przemysłem polskim z jednej strony, a handlem międzynarodowym z drugiej. „*Kupiec*“ jest pierwszym pismem polskim zawodowym w Gdańsku. Ulepszony technicznie, przedstawia się „*Kupiec*“ okazale. Ze środowiska handlu międzynarodowego tem lepiej będzie mógł służyć interesom kupiectwa polskiego. Adres dla interesentów z Polski: Poznań, Wielka 10. Abonament kwartalny z dostawą 321 mk.

## Książki nadesłane do redakcji.

Ignacy Nikorowicz. „*Krwia i łzami*“. Powieść z zarania nowego szczęścia Ojczyzny. Str. 108 1922 r. Nakładem Biblioteki „*Emigranta Polskiego*“ w Wiedniu.

Wydawnictwo Zygmunta Pomarańskiego i Spółki w Zamościu:

Dr. Tadeusz Zieliński. „*Rzym i jego religja*“. Str. 116.

Dr. Tadeusz Zieliński. „*Chrześcijaństwo starożytne a filozofja rzymska*“. Str. 32.

Dr. Tadeusz Zieliński. „*Hermes Trzykroć Wielki*“. Str. 90.

Marceli Handelsman. *Historjka część I. Zasady metodologii historji*. Str. 256.

Władysław Jedliński. „*Modrzew Polski*“. Str. 56 z rycinami.

Dr. Franciszek Bujak. „*Dziejowe znaczenie morza*“. Str. 30.

Władysław Gostyński, major artylerji. „*Cud Wisty w świetle zasad strategji*“. Str. 46. Zamość, Zygmunta Pomarański i Spółka.

## Od Redakcji.

Książki do recenzji powinny być adresowane nie osobiście: Do Redakcji „*Tygodnia Polskiego*“, Ordynacka 5.

## Od wydawnictwa.

Następny numer „*Tygodnia*“ wyjdzie 1-go stycznia w zwiększonym formacie.

# TYDZIEŃ POLSKI

Pismo poświęcone zagadnieniom życia politycznego, społecznego  
i literackiego

otwiera prenumeratę na rok 1922.

Trzeci rok wydawnictwa.

Wstępując w trzeci rok istnienia może **Tydzień Polski** wskazać na obfity dorobek artykułów piór pierwszorzędných, znamienitych formą i głębią myśli. Przedrukowywane i omawiane w całej niemal prasie polskiej, wnikały one w społeczeństwo i zmuszały je do zastanowienia się nad bołączkami narodowemi, dzięki jasnemu i przedmiotowemu oświetleniu tematów. Wolne od wszelkich odcienní liberyjnych, wyzwolone z konieczności wypowiedzania się podług narzuconych formuł, szły w świat, jako nie skrepowane głosy prawdziwie wolnej, krytycznej i twórczej myśli ludzkiej.

Koła przyjaciół naszego pisma wzmagają się coraz bardziej, wzmagają się też ilość i różnorodność współpracowników tak, że czytelnicy znajdują na łamach **Tygodnia Polskiego** najdokładniejsze odbicie objawów aktualnego życia narodu, ujęte w ramy spokojne, rzeczowe, wolne od wszelkiej animozji i osobistych zaćzepek.

W przeświadczeniu, że nasze skupienia mieszczańskie powinny odegrać w rozwoju państwowości pierwszorzędną rolę jako środowiska działalności umysłowej i przemysłowej, zwrócimy baczną uwagę na potrzeby i warunki bytu miast, na zagrody, wstrzymujące ich pochód do świetnej przyszłości.

W ubiegłym roku umieścili prace w **Tygodniu Polskim** następujący autorzy:

*Prof. Jan Baudouin de Courtenay, Attilio Begey, prof. Fr. Bossowski, R. Centnerszwerowa, D-r I. E. Chmielewski, Marjan Dąbrowski, A. Diveky, Wł. Dzwonkowski, Julia Dicksteinówna, prof. Jerzy Fiedorowicz, Wład. Günther, Xawery Glinka, Tadeusz Gruźewski, D-r T. Hryniewski, prof. Józefa Joteyko, W. Kara, St. A. Kempner, Feliks Kierski, St. Kolaczkowski, Edw. Kozikowski, Leon Kozłowski, I. W. Kosmowska, prof. Jan Kucharzewski, Ludwik Kulezycki, Jerzy Kurnatowski, Radosław Krajewski, Lacour-Gayet członek Instytutu francuskiego, Antoni Lange, Zygmunt Łada, Aleksander Lednicki, Jan Lorentowicz, Ernest Łuniński, Bolesław Lutomski, Władysław Mickiewicz, Tad. Michalski, Iza Moseczenińska, E. S. Oleszkowska, Jan Parandowski, P. E. Pawolini, Stanisław Posner, Leon Pączewski, ks. arcybiskup Edward Ropp, Stanisław Rogosz, Wincenty Rzymowski, Gabriel Seaille (prof. Sorbony), Leopold Staff, Maciej Szukiewicz, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, prof. St. Wędkiewicz, Adam Zagórski, prof. Marjan Zdziechowski, prof. Tadeusz Zieliński, D-r Józef Zieliński, Emil Zegadłowicz, prof. Fryderyk Zoll, Jan Żarnowski.*

**Celem uregulowania nakładu prosimy Sz. prenumeratorów  
o wznowienie prenumeraty przed 1-ym stycznia.**

**TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.**

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

**Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk.** — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA“, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.